Nr. 22 (1118). Warszawa, dnia 18 (31) Maja 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciagu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



PROJEKTY PRUSKIE.

Dnia 26 kwietnia 1886 r. sejm pruski uchwalił prawo o komisyi kolonizacyjnej w Prusiech Zachodnich i W. Ks. Poznańskiem. Wyposażona w 100 milionów marek, komisya miała zakupywać majątki ziemskie i dzielić je pomiędzy wzywaną z całych Niemiec, pracowitą, kulturalnie od polskiej wyższą, ludność rolniczą. Nowi koloniści *von Staatswegen* mieli pomnożyć zastępy narodu niemieckiego na ziemiach polskich, a nowe prawodawstwo zapewniało niezawodne zwiększenie się własności i posiadłości niemieckiej, kosztem uszczuplanej przez zakupy i osadnictwo niemieckie polskiej. Z początku wykupywano wyłącznie ziemię polską z rąk obdłużonych panów i pół-panków, którzy jakby czekali tylko na agrarno-polityczną magistraturę, aby pozbyć się i wierzycieli i sekwestratorów — wraz z wsiami, a pozostałe jeszcze z hypotek resztki na pociechę przepijać. W r. 1887 zanosiło się na to, że będzie miał racyę Bismarck, który w długiej bardzo, wielosążniowej mowie - manifeście przeciw Polakom — zachęcał ich „do Monaco.“ Ziemia polska szybko niknęła, rączo usuwała się podstawa bytu z pod stóp, które jej uszanować nie umiały. W niespełna rok pięć mil kwadratowych dostało się rządowi pruskiemu i Niemcom, a żaden nabytek polski nie dawał przeciwwagi politycznemu rozpędowi do germanizacyi. Zdarzały się fakty oburzające. Wysokie ceny wysoko też podbijały chciwość. Taka pani Bnińska zaofiarowała swą wieś komisyi kolonizacyjnej tylko na to, aby ją dobrze sprzedać; taki p. Gąsiorowski, który swoje kilkanaście milionów franków umieścił we Francyi, a swoją osobę w Paryżu— nie zawahał się dobrowolną ofertą wesprzeć bismarkowskiego proroctwa.

Zwolna przychodziło upamiętanie. Źle bawiące się dzieci przestawały się bawić. Zagłada przestała być igraszką. Prasa poznańska, z początku niechętna wszelkiemu oku patrzącemu z zewnątrz, spoważniała; jak pierwej smarowała miodem, tak teraz sama zaczęła chłostać. Społeczeństwo szlacheckie otrzeźwiało, dostrzegło przepaść. Choć późno, choć małymi wobec posiadanych przez germanizacyę, środkami, postawiono wreszcie basztę ochronną przeciw wzniesionej warowni prawodawczej. Lud wiejski nie spieszył z ofertami; „Ameryka“ i „Brezyl“ nie wżarły się były w jego serce tak, aby go zobojętnić dla ukochanej ziemi. Jeśli w ostateczności musiał zagrody ojcowskie rzucać, osiadając po miasteczkach, wzmacniał w nich żywioł narodowy, potęgował ich siłę zarobkową, wyzwalał je z pod przewagi pracy i dorobku niemieckiego — kulturalnie i majątkowo, jako ogniska życia swoistego po za gleba i wsią, je podnosił. Równolegle kmieć, gbur czy osadnik niemiecki, zawiódł nadzieje; jak łatwo dochodził do roli i gospodarstwa, tak łatwo też z nich wylatywał. Na całym zamachu zaciężyło przekleństwo rzeczy złe, nierozumnie, nie według praw ekonomicznych, najbardziej przecież do praw natury zbliżonych — podjętej i przeprowadzonej. Zaczęło chłopstwo niemieckie uciekać już nietylko z roli, ale z samej tej błogosławionej krainy („Landesflucht“), do której go znęcano. Jedne gospodarstwa stały opustoszałe, inne czekały na osadników i na samo urządzenie. Zarząd pochłaniał krocie, gospodarka tymczasowa zwalała straty na straty. Znoszenie wielkich folwarków było marnowaniem mienia społecznego, niewynagradzanem przez rozwój drobnej własności. Pomimo monopolu nadawanego Niemcom i protestantom, cel polityczny prawa z roku 1886 — wytworzenie ognisk niemieckości i niemiectwa w ziemiach obcych — urągał sile rzutu prawodawczego. Miliony były, działanie było — skutku nie było.

Co dostrzedz mógł rozum niemiecki, tego widzieć nie chciał rozum pruski. Zamiast zawrócić z drogi, na której dorobki wszelkie musiały być *male parta*, postanowił jeszcze się na niej wzmocnić. Nowe środki miały dodać nowej siły. Uchwalono drugie sto miliowów marek i — czekano. Doczekano się nowego sprawozdania komisyi kolonizacyjnej, a w niem — nowego rozczarowania. Pomimo 200-milionowego funduszu na uszczuplenie własności polskiej, po 15-letniej pracy wszystkich tych milionów, tych komisarzy i tych patryotów, rolników zwoływanych, spędzanych, reklamami łapanych z całej ojczyzny niemieckiej—stosunek własności jednej do drugiej, który w r. 1885 dawał lekką przewagę Niemcom, w r. 1901 przeważył się na stronę polską. Piętnaście lat znojnych trudów, mądrych planów, pełnych ładunków wagonowych, wysokich pensyj i wyższych jeszcze hymnów kończy się czystą stratą niemiecką — 31,000 hektarów, prawie sześciu mil kwadratowych! Mimowoli przypomina się tu owa mądrość legendowego dyabła, który, chcąc wydrzeć człowiekowi dobrodziejstwo zboża — własnem swem kopytem ziarno w ziemię wkopał. W obecnym wypadku rodzony jego brat, ponosząc straty na wsi, sam przysporzył temu, którego sobie upatrzył na wroga, nowej podstawy bytu — w mieście. Rozwój handlu, małego przemysłu i rzemiosła polskiego jest skutkiem kolonizacyi tak oczywistym, że nie

myślą mu przeczyć sami nawet Prusacy. A wieś polska, ilościowo nietknięta, jakościowo jeszcze się wzmogła: Bank spółek włościańskich — niezapomniana na najpóźniejsze czasy zasługa obywatela Jackowskiego — stoi w rozkwicie, Bank ziemski parcelacyjny daje dywidendę nieskończenie wyższą od renty kolonizacyjnej, podobnej do rozrzedzonego powietrza. Zamach się nie udał. Rzeczywistym jego dodatnim dla Niemców skutkiem, istotną zdobyczą, jest hakatyzm. Komisya dała mu i podłoże i rozpęd.

Czy po takiem żniwie pomyślano o przeniesieniu pługów na inną urodzajniejszą, bardziej kulturalną i bardziej konstytucyjną niwę? Nie, postanowiono iść i — dadzą nieba — grzęznąć dalej po bezdrożach. Zapowiedziany w obecnym już okresie posiedzeń nowy projekt anty-polski d. 21 b. m. zjawił się już w sejmie. Do dawnej instytucyi wykupywania majątków głównie polskich i rozdawania ziemi między dobrych Niemców i dobrych protestantów, przybywa nowa: nabywania ziemi polskiej na domeny państwowe i druga jeszcze — zamieniania właścicieli-kolonistów na kolonistów-dzierżawców. Komisya kolonizacyjna do 200 milionów dostanie jeszcze 150 na osadnictwo niemieckie, a 100 mil. na zwiększenie dóbr państwowych. W osadnictwo prawodawca wpuszcza nowy dech: kto nie zdoła się ostać jako właściciel grunt swój spłacający, zostanie na nim dzierżawcą, ze wszystkimi pożytkami a bez ciężarów własności. Do domen wyłącznie już dzierżawca dostęp znajdować będzie; tam mały, tu wielki. Nowy ów dech zdemoralizuje pracowitego Niemca utajoną w nadaniu darmochą. Nowy systemat dzierżaw domowych, zostawiając nietkniętą ludność polską, nie porozpala nowych ognisk narodowości niemieckiej, nie powytwarza gniazd germanizacyi. Może tylko wzbogacić urzędników i, miejscowych nawet, niekoniecznie z Westfalii, Frankonii, Szwabii lub Holsztynu ściąganych patryotów.

Frankfurter Ztng, organ uczciwy i rozumny, choć od sympatyi dla W. Ks. Poznańskiego, Prus i Śląska polskiego daleki, wykazując bezskuteczność nowych środków, jedyny ratunek dla pruskiego rozumu stanu, uporczywie trzymającego się manowców ekonomicznych i politycznych, widzi w takich już środkach przemocy, któreby na Niemcach w granicach Prus wycisnęły piętno ludu niecywilizowanego. Dwa miliony zwartej ludności polskiej nie dadzą się wyprzeć z ziemi od kilkunastu wieków posiadanej środkami, jakie daje cywilizacya: taki cel domaga się wydarcia przyrodzonego prawa do własności ziemskiej — walki z cywilizacyą, z człowiekiem, z naturą. Ponieważ drabina nieszczęść nie ma szczebla, któryby był ostatnim, przewidywać można, że po nieudaniu się nowego zamachu za lat kilkanaście, jeśli na Prusy żaden kataklizm nie spadnie — nienawiść nawet i takie nieszczęście zgotuje społeczeństwu poznańskiemu i zachodnio-pruskiemu. Ale zastanie je zmężniałem, ekonomicznie skrzętnem i zasobnem, umysłowo wyćwiczonem; porządnem i sprawnem, uczuciowo samodzielnem i samoistnem; cios, który miał przynieść zagładę, będzie tylko srogą przeciwnością, którą dusze przebolą, a energia przemoże i powali.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Wybory.— Mieszkania dla służby folwarcznej.— *Gazeta świąteczna* o parcelacyi. — Szkoły rolnicze, księgozbiory prowincyonalne i pan dobroczyńca z *Wieku*.

Tegoroczne wybory do Towarzystwa kredytowego ziemskiego odznaczają się większem, niż zazwyczaj, ożywieniem. Znalazło ono wyraz w licznym stosunkowo udziale stowarzyszonych w aktach wyborczych, w ilości i treści wniosków, złożonych przez nich u stołów prezydyalnych, a zwłaszcza w pewnym krytycyzmie względem naczelnych władz Towarzystwa, występującym dziś wyraźniej i ostrzej, niż dotąd, a zaznaczonym świeżo na kaliskiem zebraniu przedwyborczem przez jednego z radców, który wzrastające z rokiem każdym niezadowolenie ziemian z działalności Dyrekcyi głównej i Komitetu uznał za niepożądany rozdźwięk między stowarzyszonymi a władzami.

Niepożądany? Zapewne, ale dla władz tych głównie, narażonych na taką ostrą, a w znacznej części słuszną krytykę swych czynności, z jaką np. w przededniu wyborów wystąpił p. Ślepowrończyk w *Gazecie Radomskiej*, wyznając wręcz, że nie rozumie tego języka Sybilli, w którym władze dają spóźnione i prawie zawsze odmowne odpowiedzi na usprawiedliwione żądania stowarzyszonych, domagających się zmian i reform, zgodnych z duchem czasu i nowemi potrzebami rolnictwa. Uważając za pilne i konieczne załatwienie pomyślne takich spraw, jak podwyższenie normy pożyczek, podzielność funduszu rezerwowego oraz zmiana zbyt uciążliwych obecnie sposobów egzekucyj, p. Ślepowrończyk zaznacza dobitnie, że, według ustawy, Towarzystwo kredytowe ziemskie — to nie urzędnicy, gmachy i kasy, ale „stowarzyszenie się właścicieli ziemskich,“ trudno zatem zrozumieć, jak może być korzystnem dla Towarzystwa to, co jest szkodliwem dla ogółu stowarzyszonych.

W podobnym duchu, ale spokojniej i w sposób bardziej wyczerpujący przemawia p. Stowarzyszony w *Echach Płockich i Łomżyńskich*, poddając ostrej i uzasadnionej krytyce odpowiedzi na wnioski ziemian, postawione na zebraniach okręgowych w r. 1900. „Władze Towarzystwa — czytamy tam na wstępie — ograniczają się zwykle na suchych odpowiedziach bez podania nawet argumentów, jakie wpływały na sformułowanie tej lub innej odpowiedzi, a przecież oświetlenie gruntowne sprawy i wyłożenie powodów, które na decyzyę wpłynęły, możeby wyjaśniło najlepiej rzecz i uwolniło stowarzyszonych od powtórnego stawiania tych samych wniosków, na co już władze Tow. odpowiadają w tonie ostrym, jako na natrętne domaganie się czegoś niesłusznego.“ Autor artykułu, zgodnie z życzeniem większości stowarzyszonych, żąda dalej między innemi udzielania *motywowanych* odpowiedzi na złożone wnioski przynajmniej na pół roku przed następnymi wyborami, nie, jak obecnie, w ostatniej niemal chwili, i ogłaszania ich w pismach warszawskich i prowincyonalnych. Tą drogą tylko stowarzyszeni różnych gubernij będą mogli poinformować się o nich należycie i porozumieć następnie w sprawie dalszych swych kroków, co wpłynie tylko w sposób pożądany na uzasadnienie

---

ANATOL FRANCE.

LUCYPER.

Tafi, malarz i mozaista florencki, bardzo się bał dyabłów, zwłaszcza w tej porze nocy, kiedy potęgom złego danem jest rej wodzić w ciemnościach. Obawy Tafiego nie były wcale bezpodstawne, demony bowiem miały w owym czasie szczególne powody do nienawidzenia malarzy, którzy jednym obrazem więcej dusz wyrywali z ich mocy, niż zdołałby to uczynić w trzydziestu kazaniach jaki poczciwy braciszek zakonny. Istotnie, chcąc w duszach wiernych wywołać zbawienną trwogę i usiłując jak najlepiej opisać dzień Gniewu, który wedle świadectwa Dawida i Sybilli, ma świat w proch obrócić, kaznodzieja w habicie przemawiał grubym głosem i trąbił w dłoń w róg zwiniętą, co miało naśladować surmy archanielskie. Ale to wszystko wiatr unosił. Natomiast malowidło, wyobrażające na murze kaplicy lub klasztoru, w sposób dla wszystkich dostępny, jak Chrystus na tronie sądzi żywych i umarłych, przemawiało nieustannie do wzroku grzeszników i drogą oczu wiodło do poprawy tych, co zgrzeszyli oczyma lub inaczej. Była to właśnie epoka, w której zdolni mistrzowie przedstawiali we florenckiej Santa-Croce i na Campo-Sante w Pizie, tajemnice sprawiedliwości boskiej. Prace te wykonywane były podług rymowanej opowieści, którą Dante Alighieri, mąż nader biegły w teologii i prawie kononicznem, ułożył był ongi o podróży swej do piekła, czyśca i raju, dokąd, dzięki nadzwyczajnym zasługom swej damy, żywcem się był przedostał. Wszystko zatem w tych malowidłach było prawdziwe i pouczające, i można śmiało twierdzić, że większą odnosimy korzyść, wpatrując się w podobne obrazy, niż czytając niejedną obszerną książkę. Dażeniem tedy mistrzów florenckich było malowanie dam i kawalerów, którzy w cieniu gajów pomarańczowych, na murawie ubarwionej kwiatami, przy dźwiękach lutni i wioli, wiedli rozprawy o miłości, gdy tymczasem śmierć czyhała na nich z kosą. Nic nie mogło nawracać skuteczniej tych grzesznych niewolników ciała, pijących z ust kobiet zapomnienie o Bogu. Gwoli poprawie skąpców, malarz odtwarzał dyabłów w naturalnej postaci, wlewających roztopione złoto w gardło biskupa lub ksieni, którzy, zamówiwszy u niego jaką pracę, źle za nią zapłacili. Oto dlaczego demoni byli wówczas nieprzyjaciołmi malarza, a zwłaszcza malarzy florenckich, którzy subtelnością umysłu przewyższali wszystkich innych. Złe duchy miały im przedewszystkiem do zarzucenia zohydzający sposób, w jaki wyobrażał ich pędzel artysty, z głową ptaka lub ryby, z ciałem węża i skrzydłami nietoperza. Opowieść z życia Spinelli jest oczywistym dowodem ich urazy.

Spinello Spinelli z Arezzo pochodził z zacnego rodu wygnańców florenckich. Zalety jego umysłu dorównywały szlachetności urodzenia, był on bowiem najzdolniejszym malarzem swego czasu. Na prośby Pizańczyków ozdobił po Giottim, mury tego świętego klasztoru, w którym umarli spoczywają pod różami w ziemi, przyniesionej z Jeruzalem. Po długiej pracy w wielu miastach, mając dużo uzbieranego grosza, zapragnął znowu ujrzeć swoje Arezzo, macierz swoją, swoje kochane miasto. Arezzyanie nie zapomnieli jeszcze, jak Spinello za młodu, jako członek bractwa Najświętszej Matki Miłosierdzia, odwiedzał chorych podczas dżumy w roku 1383

i ujednostajnienie nowych wniosków i uwag.

Co do nas, to nie chcemy i nie możemy rozstrzygać tutaj, ile słuszności mają za sobą ogólne niemal żądania stowarzyszonych, domagające się podniesienia szacunku ziemi, a zarazem wysokości pożyczek i utworzenia kredytu melioracyjnego; czy racyonalne są głosy, występujące za podzielnością lub niepodzielnością funduszu rezerwowego, za wprowadzeniem papierów Towarzystwa na giełdy zagraniczne, za lub przeciw powracaniu do 4½-procentowych listów zastawnych itp. Są to wszystko sprawy specyalne, omawiane dostatecznie w pismach ekonomicznych, rolniczych, lub poświęconych głównie interesom większej i średniej własności. Pragnęliśmy tylko zaznaczyć nowe prądy, występujące dosyć wyraźnie w sferach ziemiańskich, a skierowane przeciwko rutynicznemu traktowaniu najżywotniejszych ich spraw i wymagań. Raz by zrozumieć należało, że Towarzystwo kredytowe jest tylko instytucyą finansową, niczem więcej, pewnego rodzaju stowarzyszeniem akcyjnem, którego zarząd odpowiedzialny jest również przed ogólnemi zebraniami uczestników, zastępowanemi w danym razie przez zjazdy okręgowe wyborców. Wyborcy ci zaczynają rozumieć coraz lepiej interes własny, zapoznają się z biegiem spraw Towarzystwa i protestują energicznie przeciw nieodpowiadającej duchowi czasu skostniałości niektórych jego przepisów, urządzeń i — funkcyonaryuszów. Do władz Towarzystwa przedostają się powoli żywioły młodsze, pragnące szczerze pracować dla dobra stowarzyszonych, a spodziewać się należy, że w przyszłości coraz rzadziej zdarzać się będą radcowie, wybierani głównie dzięki zasobom swych piwnic lub wskutek okoliczności, że, po utracie majątku, zaszczytny urząd w Towarzystwie jest dla nich — wygodną synekurą.

Że nowe prądy i dążenia, wywołane zapewne częściowo pożyteczną działalnością Towarzystw rolniczych, zaczynają istotnie kiełkować wśród ziemian naszych, świadczy chociażby rozumny odczyt p. Józefa Choromańskiego, wypowiedziany na ogólnem zebraniu Towarzystwa rolniczego w Płocku, a ogłoszony również w *Echach Płockich i Łomżyńskich*, które od początku najlepiej może z naszych pism prowincyonalnych wywiązują się z roli organu, mającego szerzyć w swej okolicy światłe poglądy i odbijać jej życie społeczne.

„Z powodu ciężkich warunków, w jakich znajduje się nasze rolnictwo — mówił mędzy innemi prelegent — tylko przy usilnej pracy i wytrwałości, wytknięciu sobie jasnego celu, do którego zdążać mamy, i w prawdziwem zrozumieniu potrzeb, jakich nasze położenie wymaga, możemy się spodziewać dodatnich wyników i obfitych plonów naszej działalności. Jako właściciele przedsiebiorstw rolnych, a zarazem i pracodawcy, nie możemy dochodzić do tych dodatnich rezultatów naszej pracy na roli, z pominięciem pewnych praw etyki względem wielkiej rzeszy robotników, wspólnie z nami pracujących, bez których nic nie zdziałalibyśmy.“ Jednym z pierwszych obowiązków właścicieli ziemskich względem tej rzeszy pracowników jest, według p. Choromańskiego, dostarczenie im wygodnych i zdrowych mieszkań. Staraniem prelegenta wykonany został plan czworaka, w którym mieszkanie dla pojedynczej rodziny składa się z jednej izby (90 łokci kwadr. przy 5 łok. wysokości), widnej komory i sieni. Domy mieszkalne dla służby folwarcznej powinny być zwrócone oknami na południe, lub przynajmniej jedna strona czworaka powinna być zwrócona oknami na wschód, a przeciwna na zachód. Podłogi w izbach powinny być z desek, heblowane, gdyż tylko takie odpowiadają warunkom hygieny, a zatem i zdrowiu mieszkańców. W każdej izbie, dla lepszego oświetlenia i przewietrzenia, pożądane są dwa okna na zawiasach, otwierane, z lufcikami, przy wymiarach futryny w świetle—szerokość okna 1½ łokcia, wysokość 2¼ łok. Każde mieszkanie powinno mieć osobną sień, co wpływa dodatnio na zdrowotność, utrudniając przenoszenie się chorób, i przyczynia się do większej wygody i zgodniejszego pożycia mieszkańców jednego domu. Pomijając inne szczegóły, zaznaczymy jeszcze, że koszt zbudowania takiego czworaka, murowanego i krytego dachówką, p. Ch. oblicza na rb. 1,500. Przy użyciu drzewa, mieszaniny wapna i piasku i innych tańszych materyałów, koszt ten zniża się do rb. 1,200, 1,000, lub nawet tylko 800, co i dla mniej zamożnych ziemian nie może być uważane za niedostępne. Wymagania p. Choromańskiego nie posuwają się, jak widzimy, zbyt daleko, lecz w porównaniu ze spotykanemi dotąd w wielu majątkach nędznemi izdebkami dla służby, gdzie w brudzie, ciasnocie i ciągłych nieporozumieniach gnieździć się musi po dwie rodziny parobków, jest to, bądź co bądź, postęp duży, oparty zresztą w znacznej mierze na rozumnem pojmowaniu interesu własnego.

Wybory do Tow. kred. ziemskiego, sprawozdania dyrekcyj, wykazujące ciągłe zmniejszanie się liczby stowarzyszonych, wskutek nabywania majątków przez chłopów przy pomocy Banku włościańskiego, przypomniały znów żywo sprawę parcelacyi, której Pisarz *Gazety Świątecznej* poświęcił świeżo dwa obszerne artykuły. P. Prószyński występuje z jednej strony przeciwko różnym niesumiennym pośrednikom, wyśrubowywującym zbyt wysoko ceny ziemi i zaprzęgającym nabywców w jarzmo ciężkich bardzo warunków, a często wyzyskującym wprost w sposób haniebny ciemnotę ludu i jego nieznajomość przepisów prawnych. Z drugiej strony pragnąłby on zapobiedz niewątpliwemu upadkowi kultury kraju, idącemu w parze z niszczeniem zabudowań dworskich, wycinaniem ogrodów i zatracaniem różnych ulepszeń gospodarskich, co wszystko jest dziś nieodzownem prawie następstwem parcelacyi. W tym celu, nie usiłując bezskutecznie stanąć w poprzek fali czasu i bieg jej nieuniknony powstrzymać, rzuca on jednak poważny i godny zastanowienia projekt, aby nabywane przez włościan majątki pozostawały dalej w niepodzielności, i aby gospodarstwo odbywało się w nich wspólnemi siłami i na rachunek wspólny.

„Jeśli gromada włościan — pisze p. Prószyński — nabywa cały folwark, lub jakiś duży obszar ziemi, to najlepiej — niech włościanie nie dzielą tej ziemi na działki między siebie, tylko niech spiszą między sobą umowę i oznaczą w niej, ile i jakiej wartości morgów do każdego należy; a potem niech prowadzą na niej uprawę i gospodarkę wspólną, na duży rozmiar, podobnie, jak na folwarkach. Panami takiego gospodarstwa będą wszyscy współwłaściciele, odbywający między sobą narady. Ci panowie mogą też być zarazem i robotnikami. Rządca zaś będzie zarząd przez wszystkich wybrany. W ten sposób ziemi będzie więcej, bo nie będą jej zajmowały miedze; uprawa ziemi może być lepsza, bo gromada zaopatrzy się wspólnemi siłami w dobre narzędzia, nawozy i nasiona; w takim zaś razie i urodzaje, i plony, i dochody będą większe. Przytem każda robota, prowadzona przez gromadę na dużym łanie, pójdzie sporzej. Jeśli gromada kupi folwark, to może utrzymać jego budowle w porządku, aby służyły wspólnemu gospodarstwu. Może trwać dalej sad owocowy; może być i buhaj, i ogier rasowy, i piękne bydło, i młocarnia, i żniwiarki, i siewnik, i inne najlepsze maszyny. Dom zaś dworski powinien służyć gromadzie jako miejsce zebrań, narad, pogawędek, zabaw, wesel i ja-

---

i grzebał umarłych. Wdzięczni mu też byli, że dziełami swemi rozniósł sławę ich grodu po całej Toskanii. Powitali go tedy z wielkimi honorami. Czując się pełnym sił, mimo lat sędziwych, podjął się wielkich zadań w mieście rodzinnem. Żona mówiła mu:

— Jesteś bogatym. Używaj wczasu, a młodzi niech cię w pracy zastąpią. Rozsądek doradza nam spoczynek u schyłku życia. W miłym spokoju i z myślą o Bogu należy dokonywać żywota. Piętrzyć bez przerwy, niby wieżę Babel, coraz to nowe dzieła świeckie, jest to kusić Pana Boga. Spinello, jeśli uparcie przy swych tynkach i pędzlach obstawać będziesz, zatracisz spokój ducha.

W ten sposób prawiła poczciwa kobiecina. Ale on jej nie słuchał, myśląc jeno o pomnożeniu mienia i sławy. Zamiast spocząć, zawarł umowę ze skarbnikami parafii Sant'Angelo, że epizodami z dziejów świętego Michała pokryje cały chór kościoła i wtłoczy w nie nieskończoną moc postaci. Przedsiewzięciu temu oddał się z niesłychanym zapałem. Odczytując ustępy Pisma świętego, z których miał czerpać natchnienie, zastanawiał się głęboko nad każdym wierszem i każdym wyrazem. Niedość, że przez cały dzień rysował w pracowni, lecz trudu swego nie przerywał w łóżku i u stołu, a nawet wieczorem, przechadzając się u stóp wzgórza, na którem wznosi się dumne ze swych murów i wież Arezzo, oddawał się w dalszym ciągu rozmyślaniom. Można tedy powiedzieć, że gdy zaczął szkicować swój plan na murze, obraz cały był już niejako wymalowany w jego umyśle. Szybko załatwił się z nakreśleniem konturów, potem zabrał się do wykonania nad wielkim ołtarzem sceny, która powinna była wyglądać świetniej od wszystkich innych. Należało w niej opromienić chwałą zwycięstwo wodza zastępów niebieskich, odniesione przezeń przed początkiem wieków. Spinello wymalował świętego Michała, walczącego w obłokach z wężem o siedmiu głowach i dziesięciu rogach i z upodobaniem nadał w dolnej części obrazu Lucyperowi, księciu szatanów, postać przeraźliwego potwora. Figury same powstawały pod jego ręką. Osiągnął więcej, niż się spodziewał: oblicze Lucypera było tak ohydne, że niepodobna było oprzeć się potędze jego brzydoty. Oblicze to nie odstępowało malarza na ulicy i towarzyszyło mu aż do mieszkania.

Gdy noc nadeszła, Spinello położył się u boku żony i zasnął. We śnie ukazał mu się anioł, równie piękny, jak święty Michał, lecz czarny. Anioł ten rzekł do niego:

— Spinello, jestem Lucyper! Gdzież to mnie oglądałeś, żeś mnie odmalował pod tak sromotną postacią?

Stary malarz odparł ze drżeniem, że nie będąc, jak Dante Alighieri, za życia w piekle, nie widział go nigdy na własne oczy, ale pod jego postacią wyrazić chciał brzydotę grzechu.

Lucyper wzruszył ramionami, przyczem zdało się, że wzgórze San Geminiano nagle w górę się uniosło.

— Spinello! — przemówił szatan — czy nie chciałbyś porozmawiać nieco ze mną? Jestem dość dobrym logikiem, o czem wie Ten, do którego się modlisz.

Nie otrzymując odpowiedzi, Lucyper ciągnął dalej w te słowa:

— Spinello, wertowałeś księgi, z których chciałeś mnie poznać. Znasz moją przeszłość i wiesz, w jaki sposób opuściłem niebo, ażeby zostać panem świata. Zaiste, to świetne przedsiewzięcie byłoby jedynem w swoim rodzaju, gdyby olbrzymowie nie byli też podnieśli podobnego buntu przeciwko Jowiszowi, jak to sam widziałeś na

ko dzieciarnia, czytelnia i mieszkanie zarządu gospodarczego. W miarę zaś tego, jaką część pieniędzy który gospodarz na kupno tego wspólnego gospodarstwa włożył i ile też dni w niem pracował jako robotnik, w miarę tego wszystkiego będzie się odbywał między wszystkimi wspólnikami podział plonów zebranych i podział pieniędzy otrzymanych ze sprzedaży wytworów."

Przewidując z góry, że wobec nizkiego stanu oświaty projekt ten nie we wszystkich okolicznościach będzie mógł znaleźć zastosowanie, p. Prószyński domaga się przynajmniej, aby w tych wypadkach, gdy podziału nie można uniknąć, każdy „rozkupnik" otrzymywał cały swój działek w jednem miejscu, co da się osiągnąć, dzieląc kupiony obszar na kawałki różnej wielkości, lecz jednakowej wartości. Lecz i do tego trzeba, niestety, większego znacznie, niż obecny, stopnia oświaty i dobrej woli, zarówno wśród nowonabywców, jak zwłaszcza wśród ich przedstawicieli i pośredników.

Ach ta oświata, ten postęp! Dla rozszerzenia ich na prowincyi p. E. Świecimski występuje z doniosłym projektem średniej szkoły rolniczej i szeregu niższych, połączonych z wzorowemi fermami, polami doświadczalnemi itd. P. Stefan Górski w *Kuryerze Sosnowickim* nawołuje do tworzenia księgozbiorów prowincyonalnych, mających ułatwić pracę naukową licznym już dzisiaj przedstawicielom inteligencyi, zamieszkałym za obrębem Warszawy. Lecz wszystkie te próby i projekty długo zapewne nie zdołają nas jeszcze zabezpieczyć przed miłemi niespodziankami w rodzaju owego wystąpienia dziedzica trzech wsi, który świeżo zgłosił się do *Wieku* z oświadczeniem, że „mając na względzie dobro społeczne," gotów jest w czasie wakacyj dać bezpłatne utrzymanie w każdym ze swych trzech folwarków jednemu niezamożnemu studentowi, z warunkiem, żeby wszyscy trzej pochodzili z *dobrej* rodziny, byli religijni i nie wyznawali pojęć *nowożytnych*.

Wiek przyjmuje z czołobitnością i zachwytem filantropijne oświadczenie pana dziedzica, my jednak pragnęlibyśmy wtrącić tu uwagę, że młodzieńcy, odpowiadający wszystkim wymienionym warunkom, nie potrzebują dotąd u nas uciekać się do — jałmużny, a niezależnie od tego nasuwa się wątpliwość, jak daleko sięgać ma — starożytność pojęć kandydatów do owych bezpłatnych przytułków wakacyjnych w majątkach pana dziedzica: do założenia Rzymu, do wojny peloponeskiej, czy może tylko—do szczęśliwych czasów wszechwładztwa św. Inkwizycyi?

Słusznie ktoś zauważył, że dobro należy kochać i szerzyć dla niego samego, cóż jednak poradzić na to, że niektórzy nasi kuchmistrze lubią przy jednym ogniu smażyć zawsze kilka pieczeni i odgrzewać w dodatku zatęchłą już dobrze potrawkę?

Święcic.

Z NAD WARTY I ODRY.

Niespodziewane wystąpienie w pruskiej Izbie panów p. Józefa Kościelskiego z Miłosławia wzburzyło ogromnie umysły w Poznańskiem. Znana mowa p. Kościelskiego w obecnej chwili wszechwładztwa hakatyzmu jest istotnie czemś tak jaskrawo odbijającem od ogólnego nastroju społeczeństwa, że nie można się dziwić temu oburzeniu, jakiem wybuchła cała prasa poznańska — z wyjątkiem, naturalnie, lejb-organu p. Kościelskiego, *Dziennika Kujawskiego* i *Dziennika Poznańskiego*, którego p. K. jest akcyonaryuszem — i to jednym z najbardziej wpływowych. Cała mowa p. Kościelskiego była dowodem zupełnego zaniku poczucia godności.

Tymczasem prezes Koła polskiego, ks. Radziwiłł, przysięga na wierność — znowu w imieniu ludności polskiej — niemieckiej partyi centrum. W chwili, kiedy centrum, z nieznacznymi wyjątkami, zawraca otwarcie na drogę hakatyzmu, kiedy centrowiec, hr. Hoensbroech, rzuca się na Polaków z całą nienawiścią, kiedy centrowiec, hr. Ballestrem, odtrąca polskie interpelacye w sprawie wrzesińskiej, kiedy na Górnym Śląsku księża-centrowcy tępią polskość na każdym kroku, ks. Radziwiłł na uczcie centrowców w Berlinie sypie im komplimentami, jako „serdecznym przyjaciołom Polaków," potępiając wszelkie usiłowania, któreby mogły „zakłócić stosunki Polaków do centrum."

Mowa ks. Radziwiłła jest poprostu policzkiem dla wszystkich, którzy pracowali i pracują od szeregu lat nad odniemczeniem Górnego Śląska, gdyż każde usiłowanie w kierunku podniesienia świadomości narodowej i politycznej tej prowincyi jest ciosem dla panowania centrum, a więc i dla jego „serdecznej przyjaźni" względem Polaków.

Co ta „przyjaźń" — najzupełniej zresztą platoniczna — kosztuje ludność polską, wskazują dane statystyczne, dotyczące Górnego Śląska. Gdyby nie głosy Polaków, stanowiących olbrzymią większość we wszystkich okręgach górnośląskich (z wyjątkiem raciborskiego, gdzie są większością w połączeniu z Morawianami), stronnictwo centrum w parlamencie Rzeszy posiadałoby o 8 posłów mniej, niż obecnie.

Utyskiwania na to, że gdyby Polacy odebrali centrowcom te 8 mandatów, posłowie polscy byliby w parlamencie zupełnie osamotnieni, brane są coraz mniej poważnie. Prasa ludowa nietylko wykazuje, że utrata „przyjaźni" centrum byłaby w zupełności wynagrodzona przez pomnożenie liczby mandatów polskich, ale omawia sposoby, za pomocą których nawet nieliczna reprezentacya polska mogłaby dać się we znaki większości niemieckiej. *Gazeta Grudziądzka* radzi zasadniczą zmianę postępowania posłów polskich w parlamencie: „Rząd niemiecki i pruski oraz wrogie naszemu stronnictwa w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim kpią sobie poprostu z tego, co posłowie nasi tam mówią, i robią swoje... Jeżeli więc rząd pruski wymyśla ciągle dla nas Polaków środki wyjątkowe, to trzeba i nam wobec rządu i jego spraw w parlamencie i sejmie użyć środków wyjątkowych. Jesteśmy, co prawda, słabi, ale i nasza garść posłów może przy dobrej woli narobić rządowi niemało kłopotu... W parlamencie niemieckim np. mogliby posłowie nasi w bardzo skuteczny sposób tamować wszelką pracę. Ponieważ posłowie do parlamentu nie otrzymują wcale pensyi, przeto najczęściej nie zjedzie się ich tylu, ilu potrzeba do powzięcia uchwały prawomocnej. Jeżeli nikt na to nie zwróci uwagi, że niema tylu posłów, ilu do powzięcia uchwały potrzeba, w takim razie i niewystarczająca liczba posłów może ustawę uchwalić, ale niech tylko który z posłów powie: „Nie wolno powziąć uchwały, bo niema wystarczającej liczby posłów," w takim razie musi przewodniczący zamknąć posiedzenie parlamentu. A takich posiedzeń byłoby na 300 z pewnością 200, bo parlament prawie zawsze świeci pustkami... A niechajby się jeno uchwalenie rozmaitych praw, np. etatu i innych, z powodu przeszkód, stawianych przez posłów polskich, bardzo opóźniało, albo nie przyszło do skutku, to rząd przekonałby się, że i słaby może się odpłacić pięknem za nadobne, i nauczyłby się, że nie trzeba go pchać do ostateczności."

Nie jest to zresztą głos odosobniony, bo oto i *Kuryer Poznański* proponował posłom

---

starożytnym grobowcu, gdzie walka ta wykuta jest w marmurze.

— Istotnie — rzekł malarz — widziałem ów grobowiec w kształcie kadzi, w Santa Reparata we Florencyi. Jest to piękny pomnik sztuki rzymskiej.

— A jednak — zauważył Lucyper z uśmiechem — olbrzymowie nie mają tam postaci żab ani kameleonów.

— Tak! — odparł Spinello — ale nie zbuntowali się oni przeciwko prawdziwemu Bogu, jeno przeciw bożyszczu pogan. Jest to rzecz pierwszorzędnej wagi. Faktem jest bowiem niewątpliwie, że ty, Lucyperze, podniosłeś sztandar buntu przeciwko prawdziwemu królowi niebios i ziemi.

— Nie przeczę temu— odpowiedział Lucyper. — Ilu i jakimi grzechami obciążasz mnie z tego powodu?

— Mógłbym aż siedem w tobie znaleźć— rzekł malarz — z których wszystkie są główne.

— Siedem!— zawołał Anioł Ciemności— liczba ta jest teologiczną. Siódemka rządzi historyą mego istnienia, które najściślej związane jest z Jego istnieniem. Spinello, według ciebie jestem pyszny, popędliwy i zazdrosny? Zgoda na to, lecz pod warunkiem, że i ty mi przyznasz, żem tylko sławy pożądał. Czy masz mnie za chciwca? I na to zgoda, albowiem u panujących chciwość cnotą się staje. Co zaś do łakomstwa i rozwiązłości, nie rozgniewam się, jeżeli i z tego zarzut mi uczynisz. Pozostaje lenistwo.

Wymawiając ten wyraz, Lucyper skrzyżował ramiona na pancerzu, który go okrywał i, potrząsając ciemną głową o płomiennej grzywie:

— Spinello, czy naprawdę sądzisz, że jestem leniwy? Czy masz mnie za tchórza? Mniemasz może, że w chwili buntu zbywało mi na odwadze? Nie! Słusznem więc było nadać mi rysy zuchwalca o dumnej twarzy. Nie trzeba bowiem krzywdzić nikogo, nawet szatana. Czyż nie spostrzegasz, że obrażasz Tego, do którego się modlisz, dając mu za przeciwnika potworną ropuchę? Spinello, na swe lata jesteś wielkim nieukiem. Okrutną mam ochotę wytargać cię za uszy, niby leniwego ucznia.

Słysząc tę groźbę i widząc, jak ramię Lucypera wyciąga się już ku niemu, Spinello chwycił się za głowę i jął ryczeć z przerażenia.

Poczciwa jego niewiasta, nagle rozbudzona, spytała co mu dolega. Odpowiedział, szczękając zębami, że przed chwilą widział dyabła i że się boi o swe uszy.

—Nieraz ci mówiłam, — odparła kobiecina, — że te wszystkie figury, które upierasz się malować na ścianach, doprowadzą cię w końcu do szaleństwa.

— Nie jestem waryatem, — rzekł malarz. — Widziałem go, jest piękny, chociaż smutny i dumny. Jutro, nie tracąc czasu, zmażę wstrętną postać, którą wymalowałem, a na jej miejscu umieszczę tę, którą widziałem we śnie.

— Spałbyś lepiej, — odburknęła żona. — Gadasz od rzeczy, jak gdybyś nie był chrześcianinem.

Spinello chciał wstać z łóżka, lecz sił mu zabrakło i opadł bez przytomności na posłanie. Kilka dni przemęczył się jeszcze w gorączce i wreszcie skonał.

Tłomaczyła A. K.

polskim przejście do obstrukcyi, ażeby wymódz na przewodniczącym parlamentu wznowienie rozpraw o wypadkach wrzesińskich.

Historya rozwoju wzmiankowanej wyżej *Gazety Grudziądzkiej* stanowi ciekawy przyczynek do historyi szerzenia się świadomości narodowej wśród ludu. Założona w końcu r. 1894, posiadała po paru miesiącach istnienia 900 prenumeratorów, w roku następnym liczba ta doszła do 1,190, w r. 1896 było ich już 2,570, w 1897 — 3,478, w 1898 — 4,714, w 1899 — 6,916, w 1900 — 13,217, w 1901 — 24,312; obecnie zaś liczy ona 38,397 prenumeratorów, a więc jest najpoczytniejszem pismem polskiem wogóle.

Oryginalną postacią jest wydawca *Gazety Grudziądzkiej* p. Kulerski. Ojciec jego, nauczyciel ludowy, był tak zniemczony, że dzieciom zakazywał w domu mówić po polsku. Matka była Niemką, ale nienawiści do Polaków nie czuła i nawet budziła do nich sympatye u dzieci. Kulerski chodził do gimnazyum w Lubawie, mieszkając u wuja-Niemca. Prawie zupełnie zniemczony, wstąpił do seminaryum nauczycielskiego w Grudziądzu. Dopiero mowy antypolskie Bismarcka pobudziły go do studyowania historyi polskiej, na podstawie zródeł niemieckich, co było początkiem na drodze stopniowego odniemczania się. Zabrał się do polskiego i literatury, i już w drugim roku pobytu w seminaryum zostaje wydalony za jawne manifestowanie swej polskości. Na usilne żądanie ojca składa egzamin nauczycielski i czas jakiś pełni obowiązki nauczyciela w Poznańskiem, skąd go władza przenosi do Copot. Ale i tu był uważany za niebezpiecznego, więc go przenoszą „w interesie służby" na zachód w okolice czysto niemieckie. Wobec tego Kulerski składa urząd nauczycielski i otwiera w Copotach pensyonat polski, znany pod nazwą „Domu Polskiego." Zebrawszy trochę grosza, zakłada *Gazetę Grudziądzką* i poświęca się całkowicie pracy agitacyjno-dziennikarskiej. Redaguje *Gazetę*, zwołuje wiece i przemawia na nich, rozpowszechnia wśród ludu wydawane przez siebie kalendarze i broszury itd., narażając się na prześladowania ze strony władz pruskich, odsiadując kary w więzieniu, płacąc wysokie grzywny. Już to redaktorowie pism polskich w Prusach nie mogą się skarżyć na brak opieki ze strony władz. Nic, co by się nadawało do wyzyskania przeciwko nim w sądzie, nie ujdzie im płazem, a w więzieniach pruskich stale przebywa pewna liczba redaktorów polskich. Obecnie np. w Grudziądzu odsiadują karę dwaj redaktorowie *Gazety* miejscowej — pp. Różanowicz i Sobiechowski, w Ełku na Mazurach siedzi p. Bahrke z *Gazety Ludowej*; we Wwukach — redaktor *Pracy*, dr. Kazimierz Rakowski i *Górnoślązaka*, p. Korfanty; w Katowicach i Królewskiej Hucie osadzony został w więzieniu cały personel miejscowej *Gazety*, pp. Morawski, Haaze, dr. Golde, Strzelczyk i Dyląng; w Gnieznie redaktor *Lecha*, p. Poliński. Cały szereg procesów, które odbędą się w najbliższej przyszłości, znów pociągnie za sobą uwięzienie kilku redaktorów.

Pośrednik.

„MORGANIZACYA" ŚWIATA.

Arnold Carnegie, słynny miliarder amerykański i wynalazca alopatycznej metody, która leczy wszelkie bolączki społeczne zapomocą ludowych czytelni i kąpieli — oczywiście zimnych i ciepłych, — bawił w przeszłym tygodniu w Londynie i oświadczył *interviewującemu* go reporterowi, iż „stara wesoła Anglia" (old merry England) straciła nieodwołalnie racyę dalszego bytu i powinna we własnym interesie oddać się pod opiekę swego bogatszego i możniejszego kuzyna zaatlantyckiego. Rady tej udzielił Amarykanin Anglii w dowód niekłamanej dla niej życzliwości i dlatego też ani słówkiem nie wspomniał o tem, co właściwie ma począć z sobą, gdzie podziać się na stare lata pozostała Europa. Jeśli jeszcze przed rokiem, kiedy wszyscy zajmowali się gorliwie niebezpieczeństwem „made in Germany," o najeździe Ameryki świadczył tylko lekki tuman kurzu na dalekim widnokręgu, to dziś słyszymy już tętent kopyt końskich i tupot nóg ludzkich. Ta sama Ameryka, która zbudowała najdłuższe i najszybsze koleje i najpomysłowsze maszyny, która stworzyła największe dzienniki, wzniosła najwspanialsze mosty i wyższe od najwyższych na świecie wieży domy, t. zw. „skrobacze nieba" (scrapers of sky), ta sama Ameryka, która zburzyła rolnictwo europejskie, dokonywając w życiu społecznem naszej części świata epokowego przewrotu, przybywa dziś, aby podbić rynki nasze, ujarzmić przemysł i zgnieść handel, a zrujnowawszy nas do ostatniej nitki, zniży taryfy pasażerskie na swych okrętach i kolejach, aby ułatwić nam emigracyę za Atlantyk. Jest to katastrofa tem straszniejsza, że nikt się jej tak prędko nie spodziewał. Oczy całego świata były zwrócone ku Niemcom. Przypuszczano, iż „kulturträgerzy," straciwszy Anglię z piedestału, będą odtąd rej wodzili na rynku wszechświatowym, póki nareszcie pewnego pięknego dnia nie zostaną zmuszeni stoczyć boju o hegemonię z olbrzymem zamorskim. Trudno było nawet przypuścić, kto wyjdzie zwycięzcą z tych zapasów. Porażka bowiem „królowej mórz" i bajeczne tryumfy Niemców były dla świata nie mniejszą niespodzianką, niż Sedan z 1870 r. Dziś jednak, jeśli wziąć pod uwagę popłoch, wywołany w Anglii i Niemczech powodzeniem *yankesów* i ich sprytnymi fortelami, można z tak wielkiem prawdopodobieństwem, jakie jest tylko możliwe w życiu ekonomicznem, przewidzieć, że jesteśmy w przededniu wielkiego przewrotu w dziejach handlu i przemysłu. Możemy życzyć sobie, aby tego rodzaju wróżby Kasandry nie spełniły się, albo też aby Europa w ostatniej chwili obmyśliła środki ratunkowe racyonalne i legalne, podyktowane nie przez namiętność lub zaślepienie, lecz przez doświadczenie, spisane w księgach Sybillińskich ekonomii politycznej.

Pierwszym, który przewidywał, o ile można użyć tego terminu w zastowaniu do kalejdoskopowego świata handlowego, najazd Ameryki, był przed kilkudziesięciu laty znany ojciec protekcyonizmu, Fryderyk List. On, który tak zajadle zwalczał samowładztwo i wszechwładztwo przemysłu angielskiego, przepowiedział, iż Troja zostanie zburzoną przez krewniaków zamorskich. Wróżba ta zatonęła w fali wypadków, a wydobycie jej na wierzch jest dopiero rzeczą znanego apostoła pokoju, W. T. Steada. W przeszłym roku wydał on w pracy p. t. „Amerykanizacya świata" przeraźliwy sygnał alarmowy, który, jak łatwo się było spodziewać, przyjęto śmiechem, jako okrzyk tchórza i wybrykowca. Trudno zaprzeczyć, iż w istocie rzecz Steada roi się od dziwolągów, godnych klasycznie rozczochranego umysłu, a jednak zasadniczy ton, „który tworzy muzykę" książki, zgoła nie jest fałszywym. Według Steada, dotychczas przewodniczką kulturalną świata była Anglia, ale w przyszłości rasa anglo-saska, powołana na mocy swego szlachetnego urodzenia do kierownictwa ludzkością, będzie spełniała swe zadanie za pośrednictwem Ameryki, w której ręce Anglia będzie nietylko zmuszoną złożyć swą laskę marszałkowską, ale oprócz tego krok za krokiem zrzeknie się swych posiadłości kolonialnych na korzyść rywalki. Europa będzie wprawdzie z Niemcam na czele opierała się temu przewrotowi. Na nic jednak, zdaniem Steada, nie zda się opór Wilhelma II, któremu przed rokiem jeszcze ani się śniło o zbrataniu pruskiego księcia Henryka z demokracyą amerykańską. Wiek dwudziesty będzie stał w znaku „amerykanizacyi świata." Już dziś Stead widzi pierwsze blaski owej jutrzenki, zwiastującej ludzkości wolność, obyczajowość i dobrobyt. Pierwsza Irlandya zrzuci z siebie nienawistne jarzmo Albionu i przyłączy się do Stanów Zjednoczonych. Za jej przykładem pójdą kolonie angielskie. Newfoundlandya dawno już tęskni za opieką amerykańską, spodziewając się po niej zwolnienia od ciężarów, które nałożyła nań Francya w XVIII stuleciu i których nie zdjęła Anglia. Kanadyjczycy, dziś jeszcze w swej lojalności opierający się umizgom Ameryki, wcześniej czy później ulegną interesom sąsiedztwa i stosunków handlowych, zwłaszcza że istota patronatu angielskiego polega na jawnym wyzysku. Jednocześnie z Kanadą powstanie Australia, której dążenia odśrodkowe już dziś rzucają się powszechnie w oczy. Doktryna Monroego wyprze Anglię w blizkiej przyszłości z Ameryki Środkowej i Południowej. Afryka od pierwszego strzału, który padł w wojnie transwalskiej, bezpowrotnie jest straconą dla ojczyzny Chamberlaina. Wojna ta, miast rozpocząć erę imperyalizmu, zadała mu przeciwnie cios ostateczny: zdemaskowała Anglię i obnażyła zarówno wobec świata, jak jej własnych kolonij rany, wrzody i zgniliznę, podtaczające zdrowie organizmu wielko-brytańskiego. „Great-Britain" jest śmiesznym mirażem, wylęgłym w wycieńczonym mózgu butnego i zgrzybiałego Albionu, utrata zaś kolonij, będąca kwestyą krótkiego tylko czasu, jest początkiem zaniku majestatu handlowego Anglii oraz wstępem do ery wszechświatowych tryumfów Ameryki.

W czem — zapytuje Stead, rokujący upadek własnej swej ojczyzny — tkwi tajemnica powodzenia amerykańskiego? Złożył się na to szereg warunków i okoliczności szczęśliwych. Obok dziewiczej i żyznej ziemi oraz nadmiaru skarbów natury, oddziałała tu imigracya żywiołów dzielnych, przedsiębiorczych i przejętych zamiłowaniem wolności. Co ważniejsza, w przeciwieństwie do historyi i historyozofów (jak np. Seeck i Houston Chamberlain), upatrujących w zachowaniu czystości rasowej podstawowy warunek rozkwitu kultury, Stead przypisuje wszechstronnej „panmixyi" plemiennej wpływ decydujący i nader pomyślny, przyczem uważa nawet murzynów za pierwiastek cywilizacyjnie dodatni i powołuje się, podobnie jak jego przeciwnicy, na wyniki krzyżowania gatunków w hodowli zwierząt! Dalej brak bezmyślnych pozostałości feodalnych, kosztownego i zabójczego militaryzmu oraz niesnasek plemienno-wyznaniowych pozwoliły *yankesom* całą swą energię wytężyć w jednym kierunku — wyłącznie w celach zarobkowych. *Business* stał się ostateczną sprężyną i sensem moralnym życia amerykańskiego, zbudowanego na zdrowych podstawach ustroju demokratycznego i doskonałych urządzeń szkolnych, które umożliwiają i ułatwiają wznoszenie się po szczeblach drabiny społecznej. Słowem, według Steada, rozwiązania tak strasznej dla nas zagadki amerykańskiej należy szukać w całokształcie warunków, sprzyjających rozmachowi przedsiębiorczemu jednostki, a nawet nęcących i podsycających rozległą perspektywą. Różnice stanowe wcale nie istnieją w Ameryce, różnice klasowe zaś uderzają tam wprawdzie nie mniejszym rozdźwiękiem społecznym, niż w Europie, ale sama teoretyczna możliwość szczęśliwego przeskoczenia przepaści społecznych, stwierdzona tu i owdzie przez rzeczywistość życiową, same romantyczne opowieści

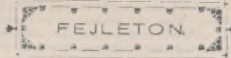
o biedakach, którzy umierali miliarderami, wystarczają dla harmonijnego zrzeszenia całego społeczeństwa pod godłem Mamona. A kraj ten nie stoi bynajmniej dziś u mety swego programu. Przed nim bowiem roztacza się świat cały, pełen niesnasek i zawiści. Mrzonka o związku państw europejskich przeciwko Ameryce musi się rozbić o wszechstronną rywalizacyę, dręczącą Europę. A zatem — co to będzie?

Tem smutnem zapytaniem kończy Stead swą księgę proroctw ekonomicznych, przyjętą, jak zaznaczyliśmy, zarówno w Anglii, jak na lądzie, szyderstwem. Niektóre jego cudactwa spekulacyjne nie pozwoliły widzieć z za drzew lasu. Tymczasem Ameryka dokonywała systematycznego podboju ekonomicznego Anglii. Anglikowi nie dawały spać jedynie wawrzyny przemysłowe Niemców, nietylko niewiędnące, ale rozkwitające bujniej z dnia na dzień, gdyż etykieta towarowa, miast zagrodzić Niemcom drogę, wprowadziła ich do Anglii z honorami, pod rękę. Mając uwagę odwróconą w inną stronę, John Bull nie spostrzegł, iż wujaszek Sam rozgospodarował się tymczasem za jego plecami. Naprzód zagarnął on wyrób zapałek, co mu się udało z tem większą łatwością, iż maszyny angielskie nie odpowiadały technice nowoczesnej. Następnie przyłożył nóż do gardła przemysłowi tytuniowemu. Uczynił to zaś w sposób osobliwy. Największemu towarzystwu akcyjnemu tej gałęzi (Liverpool—Ogden) zaofiarował cenę, która przewyższała wartość akcyj o 200 tysięcy funt. st., przyczem dał do zrozumienia, iż w razie gdyby towarzystwo nie przyjęło tego daru Danauszowego, zostanie zgniecione przez trust amerykański, który z góry zrzeka się dla celów współzawodniczych wszelkiej dywidendy na lat dziesięć. Trust amerykański, po dokonaniu tej operacyi, przybrał w Anglii szatę prawdziwie angielską: British Tobacco C-o i w licznych odezwach nawołuje Anglików, aby kupowali tylko jego, prawdziwie angielski wyrób, reklamowany jako „Quite english." Dalej: sieć kolei miejskich w Londynie przechodzi obecnie w ręce dwu miliarderów. Powstał wielki trust dla zmonopolizowania w Anglii handlu mięsem wołowem. Wszystkie teatry londyńskie są własnością przedsiebiorców amerykańskich, a wreszcie nastąpił cios najboleśniejszy dla ambicyi angielskiej. Morgan, najgłośniejszy spekulant współczesny, za pomocą kilku niepostrzeżonych „cugów" na szachownicy giełdowej wziął odrazu do niewoli amerykańskiej flotę handlową Anglii, jej chlubę tradycyjną oraz źródło jej dawniejszej potęgi ekonomicznej. Wprawdzie Anglia, zhańbiona wobec całego świata, usiłowała wmówić w siebie i w innych, że „morganizacya" jest tylko dobrym interesem, tranzakcyą, która na zasadzie umowy międzynarodowej dąży do uniemożliwienia współzawodnictwa zabójczego dla flotyl handlowych obu państw. Dla przekonania niedowiarków wskazywano nawet wielką „Cunard Line," nieprzyłączoną do trustu. A jednak kupcy *City* opowiadają już sobie na ucho o owym bajecznym „funduszu wojennym," który trzyma w pogotowiu Morgan dla podbicia linij, pozostających jeszcze za nawiasem trustu i który podobno — jak wyznawano sobie z błyszczącemi namiętnie oczami — ma wynosić 9—15 milionów funtów sterlingów.

(D. n.)

H. Forszteter.





LIBERUM VETO.

Czem jestem?

My, którzy prawie nie mamy filozofii, ciągle jednak filozofujemy. Ta umiejętność nie skupiła się u nas w osobnych głowach i nie wylewa się w osobnych dziełach, lecz potrosze jest w każdej głowie i w każdem dziele. Gdybyśmy filozofię niemiecką lub angielską porównali do szerokiej i głębokiej rzeki, to naszą należałoby porównać z wilgocią, która wszystko przenika. Występuje ona w językoznawstwie, matematyce, historyi, medycynie — w całym gmachu wiedzy, rzadko się skrapla, nie daje się zebrać, ale ją czujemy... po „łamaniu w kościach" podczas zmian pogody. Jest to zupełnie naturalnem, że taka filozofia, nieuprawiana zawodowo przez specyalistów, przez umysły, które wyłącznie jej poświęcają swe siły, lecz wysnuwana doraźnie i ubocznie przy innych zajęciach myśli, musi nosić na sobie wszystkie cechy improwizacyj i zwracać się głównie ku tym zagadnieniom, które nie wymagają uprzednich przygotowań naukowych. A więc o ile logika, psychologia fizyologiczna i teorya poznania nie mają u nas zwolenników, o tyle etyka, socyologia, estetyka, nawet kosmogonia posiadają ich bardzo wielu. Każdy mniema, że swoim scyzorykiem równie dobrze poprzecina węzły gordyjskie, jak ktoś inny mieczem.

Z owych scyzoryków i ich cięć można nieraz uśmiać się serdecznie. Gdy pisarek, który ma w głowie funt mózgu i który nad wielkiemi zagadkami poznania ludzkiego mniej się zastanawiał, niż nad swoimi butami, postawi przed sobą Kanta lub Milla, zburczy go jak tępego ucznia i da mu złą cenzurę — trudno tym widokiem nie ubawić się. Wogóle jednakże nasza skłonność do filozofowania jest objawem dodatnim i sympatycznym. Bohaterowie dyalogów Platona nie zajmowali katedr profesorskich i nie rozmyślali w gabinetach, oderwani od świata, a czasem filozofowali w stajniach. Czy zaś dla umysłowego rozwoju społeczeństwa pożyteczniejszem jest, gdy garsteczka jego członków pogłębia wiedzę w uczonych dziełach, do których ogół nie zagląda, niż gdy ten ogół przyswaja sobie, chociażby niedostatecznie przetrawiał, cudzą mądrość — o to można się spierać. Bo ostatecznie jest faktem, że każda nowa idea filozoficzna przeszczepia się z zagranicy w naszą umysłowość bardzo szybko i rozwija się w niej płodnie. Nieraz te świeże płonki rosną niedość bujnie, karleją lub wyradzają się, ale dają owoce, którymi karmi się inteligencya narodu. Obok broszur, traktatów, książek, w których niezrozumiana lub wykrzywiona teorya przybiera kształty fantastyczne, karykaturalne, ileż u nas pojawia się poematów, powieści, artykułów, w których odczuwamy czyste tchnienie filozofii!

Polak też nie jest barbarzyńcą wobec postępu kultury powszechnej, owszem, zawsze gotów ująć w swe ręce kulę ziemską i położyć na swej dłoni ludzkość, ażeby rozmyślać nad jej losami.

Dr. H. Nusbaum czynił to wielokrotnie w swoich rozprawach i wykładach publicznych. A nie występował w nich jako filozof zawodowy, jako wyznawca pewnego systematu lub uczeń pewnej szkoły, lecz jako uważny i czuły obserwator, który opisuje obrazy odbite przez życie w jego umyśle i drgnienia wywołane w jego sercu. Obecnie w osobnej książce usiłował odpowiedzieć na pytanie: *Czem jestem?* Czytelnik łatwo odgadnie, że ta odpowiedź nie może być ścisłą i że zapewnie nie będzie jej miał ostatni człowiek, kładąc się do grobu. „Ja sam jeden — mówi autor—jako siła fizyczna, jestem krańcem wątłości, jako duch — nędzarzem, jako czucie cierpienia — olbrzymem, jako czucie rozkoszy — karłem; ale ja, mniej niż miliardowa cząstka rodu ludzkiego, jestem na ziemi najsilniejszym, jako duch, w porównaniu z ubóstwem samego jednego — bogaczem, jako czucie cierpienia ogromem zmniejszonym o wielkość czynników kojących, jako czucie rozkoszy— półbogiem, bo zdolnym zrazać (?) łzy rozkoszy, kochać i mieć poczucie świętości." Dr. N. z wielkiem staraniem usiłuje w swym wywodzie okazać różnicę między człowiekiem samym w sobie, który jest nędzną nicością, a członkiem ludzkości, który jest poważną wielkością. Ale rozróżnianie to posiada znaczenie czysto retoryczne, bo człowiek sam w sobie, oderwany od społeczeństwa, prawdopodobnie nigdy nie istniał, a niewątpliwie od dawna nie istnieje. Co nas obchodzi taka mara urojona i czy możemy obliczać jej wartość? Bardzo łatwo dowieść, że człowiek również jest niczem bez powietrza, ale po co mamy zajmować się nim w takich warunkach, kiedy on w nich nigdy nie żył i żyć nie będzie? Trzeba więc tylko ocenić ową „mniej niż miliardową cząstkę rodu ludzkiego," bo ta jest rzeczywistą. A czy ona stanowi ułamek niezmiernie mały? W rozumowaniach o tym ułamku bywa często wskazywany jego stosunek do nieskończoności, wobec której on zupełnie znika. Bezwątpienia, trwanie życia ludzkiego porównane z nieskończonym czasem, drobina ciała ludzkiego — z nieskończoną przestrzenią, Herkules — z siłami wszechświata, Kopernik — z wszechwiedzą — całkiem przepadają w naszym rozumie i wyobraźni. Ale czy my, chcąc sprawiedliwie zmierzyć jakąkolwiek wielkość, powinniśmy ją przykładać do bezmiaru — do nieskończoności? Bynajmniej, w nieskończoności bowiem tonie największa wielkość, nietylko człowiek, ludzkość i ziemia, ale także słońce, gwiazdy itd. Dajmy więc pokój tej bezdennej otchłani. A wtedy, w ograniczonym zakresie naszego poznania, wystąpi bardzo wyraźnie potęga człowieka.

„To moje przeświadczenie — powiada — żem jest znikomą falą w przemianach bytu, świadomość ciasnych granic mojej świadomości, a więc świadomość istniejącej po za jej granicami niepojętności, budzi we mnie poczucie istnienia wielkości po za moją słabością, jakiejś głębokiej świadomości innej po za moją płytką, prawdy jasnej po za nieprzeniknioną oponą otaczających mię tajemnic. To wielkie, to jasne, to absolutne, to niepojęte, co przejmuje mnie grozą i pokorą, jakże nazwę? *Świętością*." Dlaczego? Jeżeli czegoś nie rozumiem, jeżeli coś przerasta moje siły, to wcale jeszcze nie jest to i nie potrzebuje być dla mnie świętem. Nie rozumiem gradu, nie mogę się mierzyć z piorunem, ale to nie racya, ażebym je czcił. Mszyca nie wyprowadzi sobie tą drogą kultu względem słońca.

Dr. N. ze szczególnem upodobaniem uderza w struny skruszonego psalmisty mianującego się prochem i lubującego się w cierpieniu. „Ja nie jestem celem, ale środkiem (Kant twierdzi przeciwnie), sposobem, narzędziem, jedną nieskończenie drobną falą olbrzymiego prądu. Nie jestem konarem, nie jestem nawet listkiem drobnym, pączkiem, owocem, kwiatem, ziarnem — jestem zaledwie jedną mizerną komórką mikroskopową olbrzymiego drzewa ludzkości." Z równą słusznością można zawołać do słońca: W bezmiarze wszechświata jesteś zaledwie maleńką skierką. Największa potęga człowieka — według autora — spoczywa w cierpieniu. Jest to

„najcudowniejszy cud“ (gdzieindziej tak mianuje miłość), „kryteryum (?) wszystkiego innego, cokolwiek po za niem istnieje rzeczywiście.“ Wydzierając człowieka z warunków rzeczywistych i rzucając go na tło bezwzględneści, dr. N. otrzymuje jego nicość w każdym stosunku. „Ktokolwiek śmiertelny woła z dumą: jestem wolny — albo — mam prawo do wolności — podobnym jest do owego mieszkańca z domu obłąkanych, który okręciwszy powrósło słomiane około czoła swojego, a w dłoń ująwszy drzazgę, uniesiony mniemaną dostojnością swoją, woła: klękajcie przed Cezarem“! I znowu autor pojęcie wolności, które zawiera treść określoną i uwarunkowaną stosunkami rzeczywistości tak rozciąga bezwzględnością, że ono pęka.

Rozprawa dr. N. nie jest traktatem ściśle filozoficznym, jest ona raczej uczuciową, niż myślową improwizacyą, splątanem pasmem dumań, psalmem pokory i miłości, ale nadewszystko jest szczerym, szlachetnie brzmiącym głosem miłości dla człowieka. Ze wszystkich teoryj i systematów, jakimi reformatorowie, mistrze i zbawcy usiłowali poprawić i uszczęśliwić ludzi, najwyższym był i będzie humanizm. Czy on wypływał z wiary, czy z wiedzy, czy się rodził z objawień boskich, czy z badań człowieczych, czy go głoszono z ambony, czy z katedry, zawsze on był czcigodnym, uszlachetniającym i najmniej omylnym. Praca dr. N. nie odpowiada na postawione w jej tytule pytanie: „czem jestem?“, ale jest pięknem rozwinięciem hasła: *sursum corda!* W jej słowach bije to odwieczne i nieśmiertelne tętno, które wyczuwamy w elegiach proroków, w ewangeliach, w nowoczesnych dziełach mędrców, poetów i myślicieli, które jest jak gdyby nieprzerwanym i coraz silniejszym ruchem jednego wielkiego serca ludzkości, zaczęło się przy jej narodzinach a skończy się z jej zgonem. Obecna doba przyspieszyła i wzmocniła ten puls życia, a umysły wrażliwsze przenoszą go do swych myśli. Dziś daleko ważniejszem pytaniem jest: jakim człowiek być powinien, niż jakim jest. „Niema ani na niebie, ani na ziemi— powiada dr. N. bardziej złowrogiego czynnika nad zrodzoną w duszy ludzkiej nienawiść... Gdy ją w sobie piastuję — jestem człowiekiem, gdy ją zwalczam — nadczłowiekiem.“ Oto w kilku słowach zawarta etyka.

Poseł Prawdy.



POWSTAWANIE STYLÓW Z GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO.

(Dokończenie).

W początkach swych rzemiosło jest jeszcze bardzo mało podzielonem. W VI w. przed Chr. rzemieślnik-artysta jest jeszcze budowniczym, rzeźbiarzem, odlewaczem metali, jubilerem itd. w jednej osobie. Dopiero później następuje podział między tymi różnymi zawodami, a z nim razem — większe udoskonalenie techniczne. W okresie stylu doryckiego malarstwo ograniczało się do ozdabiania waz, rzeźbiarze umieli tylko lepić lub kuć twarze, reszta postaci ginęła w słupie posągu, którego żłobkowanie oddawać miało odzienie. W tych sztukach jednak rzemieślnicy odrazu zostali samodzielnymi, kierownictwo eupatrydów, jak w architekturze, ani nie powstrzymywało ich w rozwoju, ani z drugiej strony nie pchało ich do reakcyi stylowej. Podział pracy i ulepszenia techniki miały tylko za następstwo większą prawdę w odtwarzaniu postaci naturalnych. W V wieku rozkwitła pod tym względem wspaniałe rzeźba, szczególnie w Jonii, w Atenach. Lecz był to zarazem czas najzupełniejszej demokracyi. Demokracya była dziełem i odpowiadała wciąż interesom klasy rzemieślniczej; artyści, którzy z tej klasy wyszli, biorą też czynny udział w życiu publicznem: Fidyasz jest przyjacielem Peryklesa, Hippodamos z Miletu pisze o najlepszej formie rządu. Sztuka jest jeszcze wciąż funkcyą publiczną, zaspakaja potrzeby społeczeństwa i wyraża jego ideały. Przedmiotem rzeźby są jeszcze głównie bogowie i bohaterowie. Okres poprzedni wytworzył ideał piękności męskiej, polegającej na sile fizycznej, cechującej wojowników; ideału tego zwycięzka klasa rzemieślnicza nie porzuciła, gdyż jej przedstawiciele walczyli też o swe prawa z bronią w ręku, a jako równouprawnieni i dbali o sprawy publiczne obywatele, służyli też i nadal wszyscy wojskowo; młodzież zawczasu ćwiczyła ciało w gimnazyach. Lecz do siły w ideale piękności tej epoki przyłączyła się cecha duchowa, rozum, wyrażający się w t. zw. typowym profilu greckim, o kącie twarzowym tak wielkim, jakiego nie spotykamy u najwyżej rozwiniętych ludów, jaki w rzeczywistości nie zdarzał się i w Grecyi. Piękność ciała kobiecego nie odgrywa jeszcze w sztuce prawie żadnej roli; tak samo artystom nie przychodzi wcale do głowy odtwarzać rzeczy codziennych, przeciętnych; techniczna doskonałość sama przez się, sztuka dla sztuki — to dla nich pojęcia najzupełniej obce. W sztuce ówczesnej wyraża się ideał społeczny w sposób zupełnie naturalny, odruchowy; artysta nie nagina do niego swego dzieła, nie jest tendencyjny; przeciwnie, odtwarza bezpośrednio treść swej duszy, lecz treść ta pełna jest ideału społecznego.

Zmienia się to w miarę tego, jak miejsce samodzielnego rzemiosła zajmuje stopniowo rękodzielnictwo zbiorowe. Rozrost handlu, wytwarzanie masowe dla rynków odległych,ześrodkowanie pieniędzy w rękach niewielu jednostek, zubożenie mnóstwa wolnych obywateli — oto bezpośrednie przyczyny i skutki tej zmiany formy wytwórczości. Wymagania coraz większej produkcyjności popychają do coraz większego podziału pracy oraz do koordynacyi tej podzielonej pracy w przemyśle rękodzielniczym. Na sztukach plastycznych odbija się to przedewszystkiem w ten sposób, że część zawodów, które dotychczas do nich były zaliczane, nabiera charakteru wyraźnie rzemieślniczego, jak złotnictwo itp., a pod sztuką właściwą zaczęto rozumieć te zawody, do których nie wkradło się wytwarzanie masowe i jednostajne, w których wytwórca panuje sam jeden całkowicie nad nieulegającem podziałowi dziełem. Po raz pierwszy zjawia się ostre, wyraźne przeciwstawienie rzemiosła i sztuki pięknej. Z samych sztuk pięknych ulatnia się ideał społeczny. Demokracyę faktycznie równych obywateli, jedynie sprzyjającą rozwojowi wielkiej, uduchowionej sztuki, wskutek zubożenia większości ich, zastąpiła ochlokracya tłumu, prowadzonego na pasku przez bogaczy; na tym gruncie wyrosły oligarchie, które z łatwością Macedończycy zamienili na monarchię despotyczną. Życie publiczne przestało być i pojętnem, i dostępnem, dla ogółu obywateli. I artyści też przestają w niem uczestniczyć, tem bardziej, że z coraz większą trudnością walczyć muszą o własny byt materyalny. Odbiorcą ich prac przestaje być państwo, miasto, ogół demokratyczny; nabywcami stają się bogacze lub dwory, od których artysta staje się zależnym. Rozwija się mecenasostwo i sztuka nadworna wraz z nieuniknioną próżnością, chęcią odznaczenia się posiadaniem okazów niezwykłych. W ogólnym prądzie podziału pracy rzeźba i malarstwo usamodzielniają się, wyzwalają ze ścisłego dotychczasowego związku z architekturą, a w dalszym ciągu uniezależniają się też i różne części lub strony obrazu, które dotychczas służyły tylko do stworzenia całości. Powstaje osobne malarstwo portretowe, zwierzęce, rodzajowe, historyczne, krajobrazowe, morskie, architektoniczne, martwej natury itd.; artyści, pozbawieni związku z życiem publicznem i wyspecyalizowani, zatracają ideał w sztuce, a zwracają całą uwagę na wykonanie, na szczegół. Doprowadzeniem techniki do najwyższego stopnia doskonałości, a często i ekscentryczności pomysłu, zwracają przytem na siebie uwagę mecenasów i monarchów. Deinokrates proponuje Aleksandrowi Wielkiemu wykucie jego posągu w górze Atos, Lysipp wznosi kolos Rodyjski. Aż do czasów Pliniusza przechowywano tablicę, na której były tylko dwie linie, nakreślone przez Apellesa i jedna — Protogenesa; ze względu na doskonałość tych linij uważano tablicę tę za jeden z największych skarbów artystycznych i przewieziono ją potem do pałacu cesarskiego w Rzymie. Oto sztuka dla sztuki! Wzrastająca chęć ucieczki od bolesnej i chaotycznej rzeczywistości wprowadza jednocześnie do sztuki żywioł fantastyczny i mistyczny. Kobieta w tym ustroju społecznym stała się przedmiotem zbytku, użycia; piękność jej odgrywa wielką rolę w życiu, a zatem i w sztuce: teraz Praksyteles rzeźbi swą Wenus. Zresztą i ideał piękności męskiej uległa zmianie: Hermes Praksytelesa, Apollo Belwederski — to już nie imponujący powagą i siłą mężowie, lecz postacie kształtne, harmonijne, delikatne, jak ludzie bogaci, żyjący w komforcie, bez pracy i nie chodzący na wojnę.

Zmiany powyższe wystąpiły najwcześniej i doszły do najwyższego stopnia w Koryncie, największym porcie handlowym — zanim ośrodkiem nowej sztuki została Aleksandrya. W architekturze zaś ten styl koryncki zaznaczył się zupełną zatratą idei przewodniej, która tkwiła w stylach doryckim i jońskim. Architekci tej epoki nie wyrażali już w kształtach kolumn żadnego ideału, żadnego symbolu walki społecznej. Podstawa kolumny wzbogacona i skomplikowana została do tego stopnia, że nie oddzielała już widocznie, dobitnie trzonu od ziemi, lecz stanowiła raczej stopniowe, łagodne przejście. Kapitel, w kształcie kielichów, kwiatów itd., nie wyrażał już wcale opierania się ciężaru dachu na słupie. Zarówno przewodnia idea społeczna, jak architektoniczna, utonęła w mnóstwie fantastycznych ozdób; kolumna wydawała się tem piękniejszą, im większym zbytkiem kształtów osłaniała i ukrywała ślady stosunków rzeczywistych — czy to budowlanych, czy — symbolicznie — społecznych.

W tym stanie zostawała sztuka grecka, gdy zawładnęli nią — Rzymianie. Rzym własnej sztuki plastycznej nie stworzył, i nie mógł stworzyć, dlatego, że lud ten, pastersko-rolniczy, rozwinął do najwyższego stopnia wojowniczość i, zacząwszy żyć z podbojów i rabunku, nie zapoczątkował własnego rzemiosła, z którego jedynie może powstać sztuka plastyczna. Budowle rzymskie mają charakter czysto użytkowy, a i to wznoszeniem ich kierowali Etruskowie. Dla tych samych przyczyn Sparta, gdzie z początku sztuka zaczęła się rozwijać, po gwałtownej reakcyi Likurgowskiej przeciw pierwszym objawom rozkładu ustroju rodowo-agrarnego, po zorganizowaniu klasy panującej w stały obóz wojenny, stała się pod względem artystycznym zupełnie jałową. Kiedy jednak w Rzymie, dzięki wojnom i przypływowi pieniędzy, powstała klasa bogaczy i tłum proletaryatu obywatelskiego, wówczas zjawiło się i zapotrzebowanie sztuki. Bogacze zapragnęli olśniewać nią i przekupywać tłum. W tym celu przedewszystkiem rabowano poprostu Grecyę, potem zaś — szczególnie za cesarzów — zaczęto gromadnie wytwarzać dzieła sztuki w warsztatach niewolniczych: wy-

nalazek rzymski, którego Grecya nie znała. Na posągi szczególnie był olbrzymi popyt. W każdym domu musiał być posąg cesarza; pochlebcy kazali je swoim kosztem wznosić wszędzie, i nietylko posągi samych władców, ale ich żon, faworytów i faworyt, a oprócz tego bogacze przez próżność kazali fabrykować i ustawiać posągi własne i swej rodziny, że aż już cesarz Klaudyusz musiał tego zakazać przynajmniej osobom zupełnie prywatnym. Ale zostawało dość dygnitarzy! Rzymianie zaś kupowali sobie, jak wiadomo, niewolników greckich do wszystkiego: filozofów, muzyków i artystów, tak samo jak „westipliki." Potworzyły się też firmy, przedsiebiorstwa artystyczne, pracujące rękami niewolniczemi, z których taniością artysta wolny nie mógł nawet współzawodniczyć. Wprawdzie z czasem ujarzmiono wszystkie ludy cywilizowane, a nowi niewolnicy, barbarzyńcy, nie mogli już podtrzymywać sztuki; przez ten czas jednak praca wszelka, nie wyłączając artystycznej, popadła w taką pogardę, że wolni nie chcieli się jej oddawać; to też już po Trajanie daje się zauważyć szybki upadek sztuk plastycznych. Jedynie rzeźba, i mianowicie rzeźba portretowa, w tych warunkach utrzymała się na pewnej wysokości. W architekturze zapanowała mieszanina, zanikł wszelki styl, wszelka świadomość idei przewodniej. Kolumnie doryckiej dodano podstawę; wynaleziono kapitel mieszany jońsko-koryncki; zaczęto używać kolumn różnych stylów, przypadkowo, bez zasad, a raczej podług zasad nic niemających wspólnego z ich właściwym charakterem, starając się zawsze przedewszystkiem o przepych budowli. Malarstwo, nieużywające zbytkownych materyałów, nieolśniewające bogactwem, upadło też najszybciej i najgłębiej. Jak je chciano pojmować, dowodzi rozkaz Nerona, aby wymalowano portret jego na płótnie, wysokości 120 stóp!

Na tem kończy Feuerherd pierwszą część (jedyną, która dotychczas wyszła) swej książki, pisanej krótko, treściwie, ale — przyzna każdy — wprowadzającej istotnie nowy ład do historyi sztuk plastycznych. Rozróżnia on, jak widzieliśmy, pięć form produkcyi, określającej formy sztuk plastycznych. Pierwsza: wytwórczość domowa. Artysta (rzemieślnik) jest tu z początku równouprawnionym członkiem plemienia, jak mianowicie w Grecyi w epoce rozkwitu stylu doryckiego (1000 lat przed Chr.), a potem za Merowingów aż do Karola Wielkiego; później bywa często poddanym lub niewolnikiem: w końcowym okresie stylu doryckiego i za ostatnich Karolingów i Ottonów. Ta forma wytwórczości przechodzi stopniowo w „rzemiosło domowe," gdy rzemieślnik-artysta pracuje w domu pana i z jego materyału. Rzemiosło samodzielne wytworzyło style, najbardziej natchnione ideą: joński, gotycki i Odrodzenia we Włoszech XIV i XV w. Przemysł rękodzielniczy wydaje styl koryncki, a drugi raz — barok i rokoko. Piąta forma produkcyi, maszynowa, nieznana starożytności, nie ma nic wspólnego ze sztuką.

Z wielką ciekawością oczekujemy dwóch następnych części dzieła Feuerherda, poświęconych opracowaniu historyi sztuk plastycznych w wiekach średnich i nowych z tego samego stanowiska.

Spełniać się zaczyna życzenie prof. Labrioli, aby historyę poddano rewizyi z punktu widzenia determinizmu ekonomicznego. Gdy melodye „kryzysu marxizmu" wygrywane są na tyłu hałaśliwych cymbałach, trąbach o głębokim tonie i skromnych fujarkach, tymczasem — „ruchu dowodzi się, idąc." *)

Dr. K. Krauz.

*) W poprzednim ciągu niniejszego artykułu, str. 246, szp. 3, w. 30 od góry, zamiast: Ebutheropoulos, powinno być: Eleutheropoulos; str. 247, szp. 3, w. 25 od góry, zam. wieczyste — nieczyste.

WULKANY ANTYLSKIE.

Uwaga całego świata ucywilizowanego zwrócona została obecnie na drobną grupę wysp, na Małe Antyle, które stały się widownią potężnych wybuchów, uśpionych przez czas pewien wulkanów. Wybuchy te, pod względem naukowym ani osobliwe, ani niespodziewane, poruszyły opinię olbrzymią ilością ofiar, dorównywającą najstraszliwszym dotychczasowym katastrofom w tym rodzaju. Nie jesteśmy i nie będziemy w stanie zapobiedz wybuchom takim, ani nawet złagodzić fatalnych skutków wyładowania się olbrzymich zapasów energii, nagromadzonej w rozpalonem wnętrzu kuli ziemskiej, ale możemy przynajmniej poznać ich przyczyny i warunki występowania. Dlatego też nie będzie może zbytecznym rzut oka na widownię ostatnich kataklizmów.

Jeszcze Humboldt zwrócił uwagę, że obydwa lądy Ameryki, północny i południowy, zbudowane prawie analogicznie, rozdzielone są pasem lądu i wysp o zasadniczo różnej, a jednolitej budowie. Pas ten —to wyspy Antylskie i ląd Ameryki środkowej.

Podstawowym kierunkiem uwarstwienia i sfałdowania skorupy ziemskiej, głównych pasm górskich w Ameryce północnej i południowej jest kierunek z północy na południe. Według powyższego typu zbudowaną jest również północna część Meksyku, stanowiąca płaskowzgórze, ograniczone od południa wielkim uskokiem. Na południe od brzegu płaskowzgórza, w Meksyku południowym, na półwyspie Yucatan w Guatemali występują liczne pasma gór, usiane wulkanami, a skierowane z północo-zachodu na południo-wschód. Stanowią one bezpośredni ciąg dalszy Antylów, które pojmować należy jako szczyty gór podmorskich.

Pasmo to oddziela od zatoki Meksykańskiej i Oceanu Atlantyckiego, głębokie, do 4600 m. morze Karaibskie, tworząc łuk, we wschodniej części pojedyńczy, złożony z drobnych wysepek, do których należą właśnie cieszące się obecnie smutną sławą Martynika i St. Vincent. W części zachodniej łuk ten jest podwójny.

W samym środku wyspy Haiti pasmo Antylskie dzieli się na dwie odnogi: północna przez Kubę ciągnie się w kierunku półwyspu Yucatan, stanowiącego poprostu jej przedłużenie; południowa zaś przez wyciągnięty, długi półwysep Jacmel łączy się z Jamaiką, a stamtąd przechodzi na ląd stały, wkraczając w granice brytyjskiego Hondurasu.

Pomijamy bardziej zawikłaną budowę dużych wysp, stanowiących zachodnią część pasma Antylskiego i zwrócimy się odrazu ku drobnym, wschodnim wysepkom, które były widownią wydarzeń ostatnich.

Możemy rozróżnić na Antylach trzy pasy o różnej budowie. Wewnętrzny, na rozklęsłej, ku morzu Karaibskiemu zwróconej stronie łuku Antylskiego, i tylko we wschodniej jego części, na małych Antylach dostrzegalny, powstał bardzo niedawno i wyłącznie tylko dzięki działalności wulkanów. Do tego właśnie pasa należą głośne obecnie Martynika, St. Vincent, S-ta Lucia, zachodnia część Gwadelupy i wiele drobniejszych wysepek. Każda z nich składa się wyłącznie ze skał wulkanicznych, na każdej spotykamy ślady wybuchów, wygasłe i czynne kratery. Pod tym względem najbogatsza jest Martynika: sprawca ostatniej katastrofy wulkan Mont-Pelée ma 9416 stóp paryskich wysokości, posiada postać prawidłowego stożka, wielki krater na szczycie i kilka drobniejszych na zboczach; za wulkan wygasły nie mógł być uważany: w końcu wieku XVIII było kilka, dość słabych wprawdzie wybuchów, a i w wieku XIX nie zachowywał się zbyt spokojnie. Jeden z większych wybuchów nastąpił w r. 1851. Oprócz Mont-Pelée, na samym środku Martyniki wznosi się najwyższy wulkan na Małych Antylach, Piton du Carbet, który jednak w czasach historycznych nie dał znaku życia; na południu wreszcie wyspy znajduje się Piton de Vauclair, również spokojny.

Wyspa St. Vincent posiada wysoki i czynny wulkan Morne-Garon. Od roku 1718 pozornie wygasły, wybuchnął on potężnie w r. 1812. Popiół wulkaniczny został zaniesiony przez wiatr aż na odległe o trzydzieści mil Barbados. W mniejszym lub większym stopniu czynne wulkany spotkać można i na innych wyspach, nie zaznaczyły się one wszakże silniejszymi wybuchami.

Drugi pas obejmuje rozległe i górzyste wyspy Wielkich Antylów i wązki, lecz wyraźny skrawek Małych Antylów. Pas ten, pozbawiony wulkanów, posiada jednak znaczne wyniosłości, utworzone przez ustroje morskie okresu kredowego i trzeciorzędowego, i łączy się bezpośrednio z Kordylierami Wenezueli. Ciekawą bardzo pod względem budowy jest wyspa Gwadelupa, utworzona w części wschodniej z pierwiastków osadowych, w zachodniej—wyłącznie z wulkanicznych. Jedną połową należy do pierwszego, drugą do drugiego z opisanych pasów.

Trzeci pas wreszcie, zewnętrzny, położony od strony Atlantyku, o nowej stosunkowo budowie—tworzy równinę, pozbawioną zupełnie gór i wulkanów, która, zniżając się, przechodzi stopniowo w dno Atlantyku.

Jak widzimy z powyższego, wulkany antylskie są ugrupowane wyłącznie na zachód od głównego pasma gór, utworzonego ze skał, od t. zw. Kordylierów Antylskich. Cały ten wulkaniczny obszar ma duże podobieństwo do południowo-włoskiego pasa wulkanów. Tam również one wszystkie ugrupowane są dokoła głębokiej i raptownej zapadliny morza Tyrreńskiego, tak samo z przeciwnej strony dotykają starych i sfałdowanych Apeninów, i nawet wykazują zbliżone, łukowate w swym układzie wygięcia.

Pochodzenie obszarów wulkanicznych jest również zbliżonem: morze Karaibskie i Tyrreńskie są to rozległe zapadliny, olbrzymie szmaty starej skorupy ziemskiej, które osunęły się w głąb wzdłuż peryferycznych, łukowatych szczelin, Apeniny zaś i Kordyliery Antylskie są to pozostałości pierwotnego lądu, którego część zapadła się wgłąb i tworzy obecnie dno morza.

Wulkany są szeregowane na samym brzegu morza, u stóp pozostałych gór, nad ową szczeliną właśnie, która wywołała obsuwanie się lądu. Zjawiska obsuwania się i przekształcania skorupy ziemskiej w tych miejscach oczywiście trwają jeszcze, czego dowodzi zarówno czynność wulkanów, jak i częste, a niekiedy potężne trzęsienia ziemi, nawiedzające oba obszary.

Widzimy tedy, że warunki geologiczne Martyniki i całych Antylów są zbliżone do znanych już dobrze włoskich i że zarówno wybuchy wulkaniczne jak trzęsienia ziemi, nie mają tam charakteru wyjątku lub niespodzianki. Jest to—przeciwnie. — jeden z najczynniejszych i najbardziej typowych obszarów wulkanicznych na ziemi.

(D. n.)

Jan L.

NOTATKI NAUKOWE.

— E. P. Karnowicz: *Wielki Książę Konstanty*, zarys biograficzny. Przekład z rosyjskiego. Warszawa, nakład Konstantego Treptego, 8-o, str. VI i 203.

Nie jest to przekład całego dzieła p. Karnowicza p. t. „Cesarzewicz Konstanty Pawłowicz,“ które ukazało się zrazu w miesięczniku *Russkaja Starina*, potem zaś w wydaniu książkowem. Tłomacz opuścił pierwsze trzynaście rozdziałów, w których p. Karnowicz kreśli żywot Księcia Konstantego do chwili objęcia stanowiska naczelnego wodza w Królestwie Polskiem. Przez to jednak „zarys biograficzny,“ jako taki, uległ znacznemu uszczupleniu. Tak więc żywot, W. Ks. Konstantego, oparty na źródłach urzędowych, oraz na korespondencyi z Opoczyninem, zawiera wiele ciekawych szczegółów do charakterystyki W. Księcia, która zresztą wypada dość bezstronnie i przedmiotowo (np. w sprawie zrzeczenia się praw do Tronu i możliwych przyczyn psychologicznych tego postępku); ale do historyi owego piętnastolecia Królestwa nie przynosi nic nowego, coby przedtem nie było podane przez naszych historyków i pamiętnikarzy. Nowe są tylko liczne błędy historyczne autora. Niektóre z nich, zbyt widoczne i rażące, tłomacz wykazał w odsyłaczach, inne pozostawił bez sprostowania. Pozostawił również nietkniętem „światło, rzucane na wypadki,“ choć poglądy autora były dlań oczywiście niesympatyczne. Wobec tego wartość naukowa i popularyzatorska niniejszego przekładu jest bardzo wątpliwa.

— Franciszek Bujak: *Maszkienice*, wieś powiatu Brzeskiego; stosunki gospodarcze i społeczne. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1901, 8-o, str 107.

Autor słusznie zaznacza w przedmowie, że chcąc poznać dokładnie i gruntownie stosunki gospodarczo-społeczne kraju naszego, należy za przedmiot badań obrać nie powiat, który jest polem poszukiwań zbyt obszernem wobec zupełnego u nas braku studyów przygotowawczych, lecz jeszcze drobniejsze całości: pojedyncze wsie i parafie. Wzorem takiej pracy jest właśnie niniejsza: wszechstronny i drobiazgowy, a wykonany istotnie wzorowo, obraz życia społecznego i ekonomicznego wsi Maszkienice, powiatu Brzeskiego w Galicyi zachodniej. Autor sięgnął do źródeł wiarogodności nieposzlakowanej: materyałów z kancelaryi gminnej, szkolnej i parafialnej, ksiąg gruntowych i hipotecznych, a uzupełnił je wynikami osobistych wywiadów śród ludności miejscowej, a mianowicie śród gospodarzy najbardziej uświadomionych i najlepiej obeznanych ze stosunkami miejscowymi. W taki sposób powstały tablice statystyczne, dotyczące: zaludnienia, ziemi i jej podziału, spadkobrania, uprawy roli, chowu zwierząt, stosunków zarobkowych na miejscu i na emigracyi, przemysłu, handlu i kredytu, wreszcie stopnia kultury, moralności i oświaty. Tablice ilustruje autor w wywodach niezbyt obszernych, ale jasnych i trzeźwych.

Tak więc co do Maszkienic wszystko, co było do wyczerpania, zostało wyczerpane. Ale ileż takich Maszkienic pozostaje nieznanych i niezbadanych! I dopiero gdyby p. Bujak znalazł licznych naśladowców, gdyby setki lub przynajmniej dziesiątki monografij podobnych ukazały się w druku, wtedy nareszcie nasze wywody gospodarczo-statystyczno-krajoznawcze nie wisiałyby w powietrzu, pozbawione podstawy realnej. Ale to jeszcze praca olbrzymia: p. Bujak wskazał do niej drogę i rzucił jedną z pierwszych cegiełek. *H. G.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

R. Kipling: *Kim*, Londyn, 1901. — *Korespondencya* i *Biografia* Stevensona.

Kipling jest może najpopularniejszym z pośród współczesnych pisarzów europejskich. Pod tym względem walczy z nim chyba jeden tylko Gorkij, a obaj zawdzięczają to głównie prostocie i energii.

Niesłychane powodzenie Kiplinga w Anglii spowodowane zresztą zostało i przez tę okoliczność, że stał się on w ostatnich czasach „bardem narodowym.“ Zbiór poematów „The Seven Seas“ tchnie nieubłaganą dumą tej rasy zwycięzkiej, która chciałaby złączyć w jedną całość wszystkich Anglo-Sasów globu ziemskiego. Ile w tej poezyi jest szczerego uczucia, a ile wyrachowania, trudno powiedzieć — bądź co bądź Kipling służy polityce „imperyalistycznej“ Chamberlaina, jakkolwiek z drugiej strony wyraża nastrój wojowniczo arogancki całej Anglii. Świat stworzony jest dla niej, synowie jej kroczą po kontynencie z miną zwycięzców i uważają się za godnych panowania. W tem przekonaniu Kipling zwiedził Amerykę, Egipt, Transwal, Indye — wszędzie stwierdzał wielkie rzeczy i czyny, dokonane przez jego ojczyznę. Ten pochód zwycięzki i cywilizacyjny rudej rasy chciał on wyrazić w swych hymnach, ale bez powodzenia. Jest to zapał sztuczny, nadęty. Zato w nowelach i powieściach Kipling był dotychczas prawdziwym historykiem i profesorem energii, a zarazem namiętnym „amatorem dusz“ silnych, wybujałych, pełnych ognia i barwy. Świat zdaje się posiadać zbyt mało widoków dla jego ciekawości, która jest chciwą wszystkich kształtów i obrazów, o ile odznaczają się ruchem i dramatycznością. Nic jest to jednak oryginalność, której źródeł i pierwowzorów nie można byłoby wskazać: przypomina on mianowicie Bret-Harte'a z powieści kalifornijskich. To samo zamiłowanie do istot czynnych, awanturniczych i energicznych, do scen, w których instynkty walki są wyuzdane: scen wojny i polowania, gdzie krew cieknie, gdzie człowiek czyha na człowieka lub zwierza, gdzie chciwość i okrucieństwo znajdują pole dla popisów. Sceny te nie są tworami wyobraźni, lecz owocami spostrzeżenia: przedstawia tylko to, co w życiu swem, bogatem w doświadczenia, widział. Jest to historyk i malarz obyczajów kolonialnych, nadmiaru ludności, którą Anglia wciąż wyrzuca na cztery końce świata, historyk, odznaczający się bogactwem niesłychanem informacyj, znajomością dokładną szczegółów technicznych, językiem wyrazistym i pełnym kolorytu.

Ostatnie dzieło Kiplinga, „Kim,“ jest połączeniem jego wad i zalet. Ta sama żywość i różnobarwność scen i ta sama arogancya imperyalisty, pomiatającego wszystkiem, co nie angielskie. Kim, to małe chłopię irlandzkie, urodzone w Indyach, pozbawione rodziców i żyjące z jałmużny na ulicach Lahoru. Pewnego razu Kim spotyka starego lamę tybetańskiego, który przybył do Indyj dla odszukania rzeki, omywającej, według legendy, z wszelkich grzechów, tych, co się w nią zanurzają. Starzec jest ślepy, potrzeba mu ucznia, któryby go prowadził i zbierał dla niego jałumżnę. Kim z zapałem podejmuje się tych obowiązków, i autor zdobywa w ten sposób możność wywołania przed nami niezliczonej ilości scen z życia ludowego Indyj, opisanego z wielką werwą, zwłaszcza w łobuzoskich uwagach i rozmowach Kima, — ale bądź co bądź czuć już w tem wszystkiem pewne znużenie. Tematy, opracowane przez Kiplinga, są dość jednostajne: autor z konieczności musi się powtarzać i dlatego niektórym krytykom wydaje się nawet, iż zaczyna się już wyczerpywać.

Wszystko to jednak jest niczem wobec politykomanii, która owładnęła Kiplingiem i kazała mu wprowadzić do swej powieści motyw wstrętny. Kim staje się mianowicie szpiegiem angielskim, nadużywa zaufania lamy i oszukuje go, jak i wiele innych osób, służąc w ten sposób interesom swej ojczyzny, za co autor niewymownie go chwali. Z drugiej strony, jeżeli autor opisuje dokładnie tuziemców, to z całej duszy nimi pogardza jako klasą niższą i nie usiłuje ich nawet zrozumieć. Wogóle Kipling coraz bardziej odpycha od siebie swą zarozumiałością Anglika, przekonanego, iż ojczyzna jego ma prawo ciemiężyć inne ludy i panować nad nimi. Wszystko to jest niemal zuchwałe i samochwalcze.

Po śmierci znakomitego powieściopisarza Stevensona, przyjaciel nieboszczyka, Sidney Colvin, zebrał i wydał przejrzaną skrzętnie jego korespondencyę. Colvin wybrał tylko te listy, które noszą charakter czysto literacki, wszystkie zaś inne, malujące w jakikolwiek sposób życie prywatne Stevensona, pozostawił na uboczu, pod pozorem, iż zmarły nie cierpiał reklamy. To też w korespondencyi tej „brak zupełnie faktów,“ jak słusznie się uskarżali krytycy angielscy. Jest to długi szereg wrażeń osobistych, spostrzeżeń i uwag poety, który przez całe życie pozostał dzieckiem, lubiącem rozprawiać o wszystkich możliwych przedmiotach, począwszy od metafizyki i kończąc na modach. Jako wielki artysta, rozprawia jednak w sposób piękny i zajmujący.

Z listów tych dowiadujemy się tylko, że w r. 1887 Stevenson wyjechał do Ameryki, ożenił się w Kalifornii, a stamtąd udał się na wyspę Samoa, gdzie przebywał do samej śmierci. Za to korespondencya jego odsłoniła nam duszę dziecięco - naiwną i dobrą. Był tak uczynny i spółczujący, iż śmierć jego dotknęła żalem powszechnym i żałobą ludność wysp Samoa, wśród której spędził ostatnie lata życia.

Listy adresowane są do Sidneya Colvina, bibliotekarza Muzeum Brytańskiego, do znanego krytyka Edmunda Gosse'a, do Williama Ernesta Henleya, wydawcy *New Review* i do wielu innych. Uderza w nich zwłaszcza zmienność autora: jak kameleon zmienia wciąż swą osobowość, zastosowywając się do przyjaciół, do których pisał. Już to każe przypuszczać, że wrzekomo prosta i naiwna natura Stevensona wydawała się taką skutkiem jednostronnego zrozumienia powikłanych cech jego charakteru.

Równie sentymentalnym, jak niewyraźnym wydaje się Stevenson i w biografii, którą napisał kuzyn jego, Graham Balfour. Tak powoli koło imienia zmarłego tworzyła się legenda dobroci i sielanki, że oto najbliższy jego przyjaciel, Henley, który spędził z nim trzynaście lat życia, zaprotestował niedawno w *Pall Mall Magazine* przeciwko temu wizerunkowi, który uważa nietylko za jednostronny, ale wprost za fałszywy.

„W gruncie rzeczy — pisze Henley — Stevenson był dobrym chłopcem, ale jednocześnie nadzwyczajnym egotystą. Bezustannie i namiętnie zajmował się sobą samym. Nie mógł przejść obok lustra, by nie szukać w niem zwierzeń względem siebie. Najmniejsze swe spostrzeżenia, najzwyklejsze koncepcye uważał za rodzaj objawień, i jako takie rzucał światu. Nigdy nie był tak poważnym i zadowolonym, jak wówczas, gdy pisał o sobie. Ludzie, znający go blisko, nazywali go bez wahania *cad* (pozujący). Nie było nigdy na świecie lepszego histryona.“

Czy te słowa podyktowane zostały przez zawiść bezsilnego krytyka wobec przyjaciela-twórcy, czy też są wyrazem prawdy, trudno orzec. Przyszłość dopiero pokaże, być może, jakim był rzeczywisty Stevenson. Tymczasem pozostaje on zagadkowym w swem życiu, pełnem pozy w uczuciach, które starannie maskował przed światem. Znamy go dotychczas tylko z dzieł i pod tym względem „Korespondencya“ i „Bibliografia,“ o których mowa, dostarczają wielu cennych wiadomości. Śledzimy tu krok w krok za powolnym rozwojem jego talentu i poglądów literackich, widzimy, jak rodzą się w nim pomysły wszystkich jego romansów i z jak niesłychanym wysiłkiem wprowadzał je w wykonanie. Był

to pracownik niezmordowany: szlifował starannie każde swe słówko, każdy frazes i pod tym względem przypomina Flauberta, który był jednym z jego mistrzów, obok Richardsona, Dickensa i Dostojewskiego.

Natomiast nie cierpiał z całej duszy naturalizmu i Zoli, będąc sam optymistą zakochanym w pięknie i radości życia, poetą, żyjącym głównie wyobraźnią, i artystą, dla którego wytworność stylu była cnotą największą. Zresztą wymagał od stylu największej prostoty. „Niechaj styl wasz będzie tuniką lnianą — pisał — układajcie fałdy, jak wam się podoba, ale nie zdóbcie jej klejnotami zbytecznymi.“

Dr. L. Winiarski.

Notatki literackie i artystyczne.

— *Jak droga tworzy typ społeczny* (Comment la Route crée le Type Social) E. Demolens. (Paris, Didot). Zbiór wiadomości o środkach komunikacyi, używanych przez rozmaite ludy i rasy, oraz niezmiernie dowcipne wykazanie wpływu tych środków na kształtowanie się społeczeństw. Książka napisana w sposób bardzo zajmujący, zawiera dużo ciekawych wiadomości. (*Journal des Débats*).

— *Skrytki oraz inne tajemnice* (Secret Chambers and Hiding Places) Allan Fea (Bonsfield and C-o). Za panowania Elżbiety surowe prawa, wydane przeciw katolikom w Anglii, stworzyły w domach wiernych Rzymowi cały system skrytek, tajemniczych znaków i stowarzyszeń, w celu udaremnienia prześladowań. Chowali się przeważnie księża. Autor przytacza dużo nadzwyczaj dramatycznych scen i wypadków, wynikających w atmosferze owych ciężkich czasów w tych izbach i skrytkach tajemnych. (*Atheneum*).

— *W namiocie i świątyni razem z Tybetańczykami* (With the Tibetans in Tent and Temple) Susie Carson Rynhart (Hiphaut). Pani Rynhart podróżowała razem z mężem po Tybecie; pewnego dnia mąż jej wyszedł i więcej nie wrócił; należy przypuszczać, że został zamordowany; słudzy okradli osieroconą kobietę, zabrali konie i rozbiegli się. Została sama i w ciągu dwóch miesięcy, nocując w śniegu, doświadczając tysiąca niebezpieczeństw, pozbawiona nieraz najniezbędniejszych rzeczy, nawet pokarmu i odzieży, przedzierała się mężnie wśród dzikich mieszkańców gór, rozbójniczych koczowników i zaciekłych fanatyków ku granicom Chin. Chińczycy zaopiekowali się podróżniczką i uratowali ją od zguby. (*Daily News*).

— *Wojna cywilizacyi* (The War of the Civilisation) George Lynch (London, Longmans and C-o). Autor uczestniczył w ostatniej wojnie z Chinami, oswabadzał „zagrożone poselstwa“ i powiada, iż cała ta sprawa trochę inaczej wygląda, niż to przedstawiają dyplomaci i wojownicy. Opowiada o swej znajomości z reformatorem chińskim, Suno-Ja-Tse, oraz z niektórymi bokserami, wśród których znalazł nawet ludzi bardzo wykształconych. Jest on zdania, że gdyby misyonarze trzymali się wzorów apostolskich lub naśladowali pierwszych chrześcian, chrześciaństwo w Chinach oraz stosunki z Europą miałyby znacznie większe powodzenie. Na nieszczęście szerzenie chrześciaństwa w tym kraju jest tylko intrygą polityczną. (*Manchester Guardian*).

— *Historya rozwoju umysłowego w granicach ewolucyi społecznej* (History of Intellectual Development on the lines of modern evolution I. Beattie Crozrer (London, Longmans, Green and C-o). Dwa najlepsze rozdziały mówią o „iluzyach w historyi“ i o „socyalizmie.“ Autor bada równolegle rozwój trzech wielkich państw: Anglii, Francyi i Ameryki i probuje wyciągnąć stąd wnioski o najbliższych zadaniach społecznych i cywilizacyjnych bieżącego stulecia. (*Manchester Guardian*).

SPRAWY EKONOMICZNE

Stacya doświadczalna w Sobieszynie.

Sadzono niegdyś, że urządzanie t. zw. gospodarstw wzorowych przyczyni się do podniesienia rolnictwa krajowego. Oczekiwania te zostały zawiedzione. Gospodarstwa wzorowe nie dopięły celu, gdyż dbały więcej o pozory techniczne, niż o obrachunek i właściwy cel wytwórczości rolniczej, jakim jest możliwie najwyższy trwały dochód.

Ustąpiły też one z czasem pola stacyom doświadczalnym, które dziś są głównemi ogniskami postępu gospodarki rolnej i krzewicielkami oświaty zawodowej. Cel stacyj doświadczalnych jest dwojaki: 1) badania czysto naukowe i 2) służenie pewnym potrzebom praktycznym, jako to: kontrolowanie materyałów rolniczych (nasion, paszy, nawozów) przy kupnie i sprzedaży, udzielanie porad praktycznych itp.

Jak wszędzie, tak i w tej dziedzinie, niezbędny jest podział pracy: stacya ma zadanie niezmiernie utrudnione, jeśli jednocześnie prowadzi badania naukowe i musi uwzględniać mnóstwo zagadnień praktycznych, których rozwiązania domagają się rolnicy. W krajach, gdzie stacye doświadczalne są gęsto rozsiane (Niemcy, Stany Zjednoczone, Francya), tylko niektóre (*centralne*) prowadzą badania czysto naukowe. Do celów praktycznych służą stacye drugorzędne (*lokalne*), mogące przy każdem doświadczeniu uwzględniać stosunki i potrzeby miejscowe.

U nas, gdzie do niedawna (bo do r. 1900) jedyną stacyą doświadczalną była sobieszyńska (gub. Siedlecka), która jak wiadomo powstała w r. 1886, dzięki zapisowi hr. Kickiego, o takim podziale pracy mowy być nie mogło.

To też—jak to widzimy z całego szeregu dorocznych sprawozdań za przeciąg czasu od r. 1896 do 1902, wszystkie czynności, wchodzące w zakres działalności drugorzędnych stacyj miejscowych,ześrodkowywały się w Sobieszynie, tak że — zaznacza sprawozdawca p. Sempołowski — stacya skazana jest na wielką różnorodność zajęć i musi rozpraszać swoje siły w różnych kierunkach.

I rzeczywiście, stacya sobieszyńska wykonywa rozległe doświadczenia nad wydajnością i plennością różnych odmian zbóż, roślin okopowych i pastewnych i nad skutecznością nawozów; zajmuje się ulepszaniem, uszlachetnianiem zbóż krajowych, udziela porad w sprawach gospodarczych; kieruje wreszcie doświadczeniami zbiorowemi z różnymi ziemiopłodami i nawozami. Próby te trwają nieraz po kilka lat i przysparzają niemało zajęcia.

Czynności powyższe rozklasyfikowano w sprawozdaniach na 1) prace w laboratoryach, 2) doświadczenia polowe, 3) doświadczenia nawozowe i 3) zbiorowe doświadczenia porównawcze.

Prace w laboratoryach obejmują analizy prób nasion i nawozów, dokonywane w pracowni chemicznej (przeciętnie 250 analiz na rok), oraz ocenę nasion w pracowni botanicznej (przeciętnie 217 na rok). Ze szczegółowego wykazu analiz, dokonanych w r. 1900—1901, widzimy, że znaczna ich większość wywołana została żądaniami rolników z rozmaitych okolic kraju, którzy coraz lepiej zaczynają rozumieć, jak doniosłe znaczenie mają dla nich analizy nasion, karmu inwentarza i nawozów.

Rolę pośrednią i pomocniczą mogłyby tu odgrywać syndykaty i towarzystwa rolnicze. Na Zachodzie każda tranzakcya dokonywa się z obopólnem sprawdzeniem wartości materyałów rolniczych. Do tego samego p. Sempołowski nawołuje i naszych rolników.

Uszlachetnianie i ulepszanie zbóż krajowych stanowi już osobną gałąź przemysłu rolnego w takich krajach, jak Dania, Szwecya, Niemcy, Francya, rozumiejących od dawna, że uprawa zbóż ulepszonych zapewnia większe korzyści. W Sobieszynie selekcya zbóż w szkółkach prowadzona jest od r. 1893. Dla wypróbowania odmian ulepszonych stacya oddaje ziarno ze swoich pól i szkółek majątkom Sobieszynowi i Orłowowi i gospodarstwom sąsiednim, które stosują się przytem do otrzymanych wskazówek. Utworzona tą drogą „Nadwieprzańska produkcya nasion“ obejmuje 10 gospodarstw i rozporządza już obecnie znaczną ilością uszlachetnionych czystych odmian. Rozwinięta w tym kierunku działalność nietylko zapewniłaby znaczne podniesienie płonu, ale stačby się mogła dla niejednego gospodarstwa źródłem poważnego dochodu i przyczynić się do zmniejszenia dowozu drogich a wątpliwych co do wartości nasion zagranicznych. Możnaby nawet otworzyć sobie drogi zbytu w Cesarstwie.

Większe znaczenie doraźne ma jednak praktyczna działalność stacyi, polegająca na udzielaniu porad gospodarskich. W r. 1899—1890? otrzymano 315 zapytań i wysłano 604 listy „niejednokrotnie z wyczerpującemi poradami i wskazówkami.“ W następnym roku udzielono 422 porad.

Do mozolniejszych czynności stacyi należy kierownictwo doświadczeniami zbiorowemi z różnymi ziemiopłodami i nawozami. Takie tylko doświadczenia porównawcze i prowadzone przez kilka lat rozstrzygają o wartości danej odmiany zboża dla pewnej okolicy. W tym celu stacya zorganizowała sieć pól próbnych w różnych okolicach kraju, wypracowała wskazówki, zajęła się rozesłaniem ziarna sprowadzonego od znanych hodowców, i przygotowaniem sprawozdania. Doświadczenia, rozpoczęte w r. 1892, prowadzone były przez 4 lata w 18 gospodarstwach. W r. 1897 stacya rozpoczęła w 12 gospodarstwach szereg nowych doświadczeń z uwzględnieniem odmian krajowych pszenicy i ziemniaków.

Nadmienić wreszcie należy, że stacya prowadzi spostrzeżenia meteorologiczne. Sprawozdania miesięczne przesyłane bywają do Cesarskiego Towarzystwa rolniczego w Moskwie i do głównego Obserwatoryum fizycznego w Petersburgu oraz do Centralnej Stacyi meteorologicznej przy Muzeum przemysłu i rolnictwa, a spostrzeżenia nad opadami atmosferycznymi — do Sekcyi rolnej w Warszawie.

Tak wygląda działalność stacyi ze sprawozdań przez okres czasu od r. 1896 do 1902. Potrzebą, na którą sprawozdawca zwraca z naciskiem uwagę, jest zakładanie drugorzędnych stacyj doświadczalnych w innych okolicach kraju. Zadaniem tych nowych ognisk postępu rolnego byłoby, według projektodawcy, wykonywanie prób porównawczych nad plennością różnych odmian roślin uprawnych, zaprowadzenie szkółek zbożowych, rozpowszechnianie lepszych odmian, prowadzenie doświadczeń z nawozami, z żywieniem inwentarza, a przedewszystkiem udzielanie objaśnień gospodarczych. Myśl tę porusza stacya w każdem niemal sprawozdaniu oraz na zebraniach Towarzystw rolniczych (w Piotrkowie, Lublinie itd.). Tu rzeczywiście otwiera się wdzięczne pole działalności dla tych Towarzystw, tem bardziej, że, według ustawy normalnej, zatwierdzonej przez komitet ministrów, mogą one nietylko wyjaśniać potrzeby rolników za pomocą rozpraw, delegacyj i wycieczek, nietylko urządzać wystawy, ale zaprowadzać także stacye i pola doświadczalne.

P. Sempołowski oblicza koszty *jednorazowego* urządzenia takiej sekcyi na jakie 3,000 rb., przypuszczając naturalnie, że na początek będą się one obchodziły bez wielu udogodnień laboratoryjnych i narzędzi naukowych, których wprowadzenie i nabycie wymaga znacznego kapitału. Potrzeba stacyj miejscowych jest tem pilniejsza, że, jak słusznie zwraca uwagę autor sprawozdań, działalność Sobieszyna nie może się rozciągnąć na dalsze okolice kraju, choćby tylko wskutek utrudnionej komunikacyi, spowodowanej znaczną odległością tej miejscowości od kolei.

Zauważymy jeszcze, że podobna stacya doświadczalna, założona niedawno w Chojnowie pod Przasnyszem (gub. Płocka), już w pierwszych latach istnienia rozwinęła pod kierunkiem dr. K. Rogóyskiego nader pożyteczną działalność i zawiązała stosunki zarówno z rolnikami okolicznymi, jak i z mieszkańcami innych gubernij.

K. Kasperski.

NA MARGINESIE.

Chirurgia i serce. W krótkim, lecz treściwym artykule pod tym tytułem dr. Romme daje w nr. 8 *La Revue* kilka niezmiernie ciekawych szczegółów, dotyczących zuchwałych zapędów i, o zawrót głowy prawie przyprawiających, powodzeń chirurgii w dziedzinach chorób dotąd uważanych za nieuleczalne. Żołądek, kiszki, wątroba, nerki stały się już niezaprzeczoną własnością operatora, a teraz i po serce sięga zuchwała jego ręka — serce, któreśmy przywykli uważać za bezwarunkowo nietykalne. „Chirurg—mówi dr. Romme—który wobec serca zranionego nożem lub kulą bezczynnie założyłby ręce, uchybiłby swemu obowiązkowi.“ Jego powinnością otworzyć piersi, odsłonić serce i zatamować krew przez zaszycie rany. Tym sposobem niejednemu już udało się ocalić życie. Lecz trudna to sprawa. Bo pomyślmy tylko, że serce nie znajduje się tuż pod skórą, że ażeby do niego się dostać i zobaczyć ranę, z której krew wypływa potokiem, trzeba pierś rozpłatać, płuca odsunąć, osierdzie przeciąć, palcem delikatnie wymacać miejsce uszkodzenia i zaszyć je igłą uzbrojoną w nitkę. Tak się robi, jeśli zranioną jest przednia powierzchnia serca; gdy chodzi o tylną, sprawa staje się nierównie trudniejszą, lecz także możliwie wykonalną. Chirurg wówczas bierze serce w rękę, podnosi je w górę i na odwrotnej stronie wykonywa to samo, co na przedniej. Co prawda, chory nie zawsze żyje po takiej operacyi, lecz śmierć następuje zwykle wskutek ropienia osierdzia lub pleury, gdy serce przy sekcyi pozgonnej wykazuje zazwyczaj ranę dobrze już zabliźnioną.

Dr. Podrez taki np. fakt opisuje: Do jednego ze szpitali paryskich przywieziono piętnastoletnią dziewczynę, która strzeliła do siebie z rewolweru. Kula utkwiła w sercu i wywołała silny krwotok, dla którego bez wahania rozcięto piersi, odgarnięto płuca, osierdzie i do ranki, w celu wyszukania kuli, wprowadzono cienką igłę; ale nadaremnie. Wówczas ujęto serce dwoma rękami i zaczęto naciskać, aby wyczuć miejsce, gdzie kula tkwiła — lecz i to było bez skutku. W czasie tej operacyi serce wyjęte na zewnątrz, nie przestało bić na chwilę między dwoma dłońmi, tylko uderzenia jego z rytmicznych przeszły w falujące...

Są to wprawdzie rzeczy cudowne, lecz pomimo wszystko nie wykraczają z dziedziny właściwej chirurgii. Co powiemy jednak, że w zakresie chorób serca, które, zdawałoby się, tylko medycyna leczyć może, potrosze do chirurgii także zwracać się zaczynają. Dr. Tuffier np. kilka tygodni temu, opowiedział następujące zdarzenie na posiedzeniu Towarzystwa chirurgicznego. Miał on chorą, która cierpiała na anewryzm arteryi. Ścianka w miejscu osłabionem tak silnie krwią nabiegła, że tworzyła gruczoł, który widać było przez skórę jamy piersiowej. Pominąwszy straszne cierpienia chorej, których medycyna złagodzić nie była w stanie, nabrzmienie groziło pęknięciem w każdej chwili. Dr. Tuffier przeto postanowił spróbować środków chirurgicznych. Otworzył jamę piersiową, odnalazł nabrzmienie arteryi, jak pęcherz w tem miejscu wydętej, delikatnie oswobodził ją od sąsiednich organów i powoli, z nadzwyczajną ostrożnością, naciskając obu rękami, zaczął wypędzać do arteryi nagromadzoną w nabrzmieniu krew. Gdy to uskutecznionem zostało, w ręku miał już tylko pusty worek, który nitką mocno zawiązał i tak oddzielił od arteryi. Chora jednak w jedenaście dni umarła wskutek krwotoku. Okazało się na sekcyi, że worek anewryczny, który pozostawiono w jamie piersiowej, uległ zgangrenowaniu, w następstwie czego arterya otworzyła się i nastąpił wylew krwi, którego już niczem zatamować nie było można. Należy przypuszczać, mówi dr. Tuffier, że gdyby worek był usunięty, chora wyzdrowiałaby zupełnie.

Są to wszystko do pewnego stopnia próby tylko, niektórych nie odważono się nawet przenieść ze zwierząt i trupów na ludzi żywych, ale przyjdzie zapewne czas, kiedy technika, z każdym dniem niemal doskonalsza, uprawni to zuchwalstwo i usunie trudności obecnie jeszcze niezwalczone.



Wiadomości urzędowe. *Wil. Wiest.* donosi, że d. 30 kwietnia (18 maja) rozlepione było na rogach ulic następujące zawiadomienie general-gubernatora wileńskiego: „Uznaję za konieczne przypomnieć mieszkańcom Wilna i jego przedmieści ścisłe i surowe przestrzeganie obowiązującego mego rozporządzenia z dnia 17 grudnia 1901 roku, na mocy którego bezwarunkowo wzbronione są wszelkie zbiegowiska i zebrania na ulicach; przyczem ostrzegam, iż dla ich usunięcia będę stosował środki jak najbardziej stanowcze, a sprawcy ich przekroczenia podlegną najsurowszym karom administracyjnym.“

Wiadomości społeczne. Cesarz Wilhelm odrzucił prośbę o ułaskawienie, podaną przez Piasecką i innych, skazanych w sprawie wrzesińskiej.

— W Dreznie utworzyło się „Towarzystwo dla kresów południowo-wschodnich,“ którego celem będzie ograniczenie napływu Polaków i Czechów do Saksonii i krajów sąsiednich.

Lutosławski—Kulczycki. Ostatnie, bardziej szczegółowe doniesienia ze Lwowa o głośnem zajściu po odczycie przedstawiają ten wypadek w świetle o tyle odmiennem, że p. Kulczycki był wyzwany nietaktownem zachowaniem się p. Lutosławskiego do energicznego odparcia ataku w dyskusyi, która przestała być parlamentarna.

Wiadomości naukowe. Rada uniwersytetu warszawskiego ogłosiła konkurs, z nagrodą 900 rb. im. Adama Chojnackiego, na pracę naukową z dziedziny medycyny i chirurgii, napisaną oryginalnie i nadesłaną bądź w rękopisie, bądź wydaną drukiem w ciągu ostatnich lat czterech; prace rękopiśmienne winny być napisane w języku rosyjskim wyraźnie i bez poprawek. Nagroda może być przyznana jedynie poddanemu rosyjskiemu i nie może być rozdzielona pomiędzy autorów dwóch lub więcej prac. Przeznaczone na konkurs prace należy przesłać wydziałowi lekarskiemu uniwersytetu warszawskiego nie później, jak dnia 14 kwietnia 1904 roku. Wybór języka, w którym praca nagrodzona ma być ogłoszona drukiem, zależy od uznania autora. Nagroda wypłacona będzie d. 24 grudnia 1904 r. po przedstawieniu uniwersytetowi przez autora 150 egzemplarzy celem rozdania ich profesorom oraz przesłania innym instytucyom naukowym. W razie wydrukowania pracy nagrodzonej nie w języku rosyjskim, może ona być przedstawiona uniwersytetowi w celu otrzymania nagrody jedynie po otrzymaniu zaświadczenia wydziału lekarskiego o dokładności i prawidłowości przekładu. Jeżeli nagrodzona praca rękopiśmienna dla jakichkolwiek przyczyn nie zostanie przed d. 24 grudnia 1904 r. dostarczona uniwersytetowi w 150 egzemplarzach, to w powyższym terminie w gazetach miejscowych poczynione będą ogłoszenia jedynie o przyznaniu nagrody, wypłacenie jej zaś nastąpi dopiero w chwili wypełnienia warunków konkursu.

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłosiła konkurs na stypendyum imienia Zenona Pileckiego w kwocie 2400 koron. Kandydat musi być Polakiem, katolikiem obrządku rzymskiego lub grecko-unickiego, który ukończył kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem doktora lub na jednym z uniwersytetów rosyjskich ze stopniem kandydata i pragnie udać się za granicę dla dopełnienia studyów w obranym zawodzie naukowym, nadto winien biegle władać językiem polskim oraz złożyć dowody uzdolnienia, pracowitości, zamiłowania w naukach i moralności. Pierwszeństwo dane będzie kandydatom, pochodzącym z państwa rosyjskiego. Tym razem o stypendyum ubiegać się mogą kandydaci, którzy poświęcają się naukom matematyczno-przyrodniczym. Podania wnosić należy do Akademii do d. 15 czerwca r. b. i dołączyć do nich: 1) dowody, że kandydat, według warunków powyżej określonych, ma prawo ubiegania się o stypendyum; 2) dokładny program studyów, które w ciągu roku zamierza odbywać. Stypendyum wypłaci kasa Akademii Umiejętności w dwóch równych ratach półrocznych, a mianowicie d. 1 października r. b. i 1 kwietnia r. p. Wypłata drugiej raty zależeć będzie jednak od uchwały komitetu, któremu stypendysta po upływie pierwszego półrocza złoży wyczerpujące sprawozdanie z odbytych studyów.

Szkoła i wychowanie. Wydział wychowawczy Towarzystwa hygienicznego powziął zamiar poczynienia starań o wprowadzenie niektórych zmian w trybie odbywania nauki w szkołach tutejszych. Zmiany te mają na celu polepszenie zdrowia młodzieży. Między innemi udogodnieniami wydział projektuje: 1) ustanowienie rekreacyj szkolnych w tygodniach, w których niema dni świątecznych, przy skróceniu wzamian o 3 tygodnie feryj letnich; 2) przedłużenie pauzy półgodzinnej do całej godziny, a przyspieszenie natomiast czasu rozpoczynania lekcyj o pół godziny, i 3) zwalnianie dzieci od zajęć w dni bardzo upalne przy pewnej maksymalnej temperaturze powietrza. Potrzebę wprowadzenia tych zmian wydział wychowawczy usprawiedliwia tem, że praca bez przerwy w ciągu dni 6 tygodnia nazbyt wyczerpuje dzieci, skutkiem czego tracą one zdolność skupiania uwagi i małe odnoszą korzyści z wykładów. Szkodliwą też jest dla dzieci praca kilkugodzinna w ciągu dnia bez dłuższej przerwy, w której możnaby spokojnie i bez pośpiechu posilić się i należycie wypocząć. Wydział jest zdania, że przedłużenie roku szkolnego o trzy tygodnie nie uszczupliłoby nazbyt wakacyj, na które i tak pozostanie jeszcze dwa miesiące.

— *Nowosti* donoszą że otwarcie instytutu politechnicznego w Petersburgu nastąpić ma w jesieni r. b.

— Wydano roporządzenie, ażeby wychowańcy seminaryów nauczycielskich nie byli przyjmowani do wojska jako ochotnicy przed wysłużeniem obowiązkowego terminu 5-letniego w swym zawodzie.

— Do Instytutu komunikacyj w Petersburgu, po złożeniu egzaminu konkursowego, przyjętych będzie na kurs pierwszy 100 studentów, którzy ukończyli gimnazyum realne nie wcześniej, niż w r. 1900; na kurs drugi — 15 i na trzeci — 10 kandydatów, którzy ukończyli wydział matematyczny.

— Podania o przyjęcie do instytutu gospodarstwa rolniczego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi (gub. Lubelski) na przyszły rok szkolny 1902—1903 składać należy do dnia 14 sierpnia. Komplet studentów pierwszego kursu ustanowiono na 60. Szczegółowe wiadomości o warunkach przyjęcia można otrzymać bezpłatnie, listownie. Egzamina konkursowe z matematyki (algebra, geometrya i trygonometrya) i fizyki będą dokonywane ustnie, a z języka rosyjskiego piśmiennie.

Sprawy ekonomiczne. Żydom obcokrajowym pozwolono przyjeżdżać do Rosyi w charakterze komiwojażerów nie inaczej, jak po wykupieniu dla firmy świadectwa przemysłowego za 500 rb.

— Droga żelazna Kowelsko-Kijowska po ukończeniu jej budowy przyłączona będzie do składu kolei Południowo-Zachodnich.

— Od dnia 1 lipca 1901 r. do 14 stycznia 1902 r. w Królestwie Polskiem było czynnych 337 gorzelni, które wyprodukowały 2,601,949 wiader spirytusu, w porównaniu z rokiem 1901 przeszło 100,000 wiader

miej. Zapasy w składach rektyfikacyjnych, w składach prywatnych i rządowych wynosiły 2,900,279, z tej ilości 1,162,347 wiader było własnością skarbu. Wogóle produkcya znacznie się zmniejszyła, a zapasy powiększyły się w porównaniu z r. z. o 214,150 wiader.

— Powstał projekt zabronienia dyrektorom banków prywatnych korzystania z kredytu w zarządzanych przez nich instytucyach.

Ze sztuki. Salon artystyczny w Warszawie ogłosił konkurs na obraz, do którego treść ma być zaczerpnięta z polskich legend, podań i obrzędów, życia wiejskiego lub miejskiego. Format i wielkość obrazu, jak również sposób wykonania go kolorowo, dowolny. Obrazy artystów zamiejscowych mogą być przysłane bez ram, a na koszt Salonu tylko ten, który będzie odpowiadał warunkom konkursu. Termin nadsyłania prac upływa z d. 15 września r. b. Nagrody dwie: 200 i 100 rb. Obrazy, nadesłane na konkurs, wystawione będą w Salonie przez sześć tygodni.

Zdrowie publiczne. Ministeryum oświaty zatwierdziło stałe przepisy dla ruchomych oddziałów okulistycznych przy warszawskim Instytucie oftalmicznym. Oddziały te rozpoczną swą działalność d. 1 maja i będą czynne do d. 1 października r. b.

Katastrofy. W Cincinati nastąpiło tak gwałtowne oberwanie się chmury, że z pośród osób, które na ulicy zostały zaskoczone tym nagłym wypadkiem, kilkanaście poniosło śmierć na miejscu.

— Cyklon nawiedził Stany Teksas, Arkansas, Tennessee i Kentucky, posuwając się szerokim pasem w kierunku północno-wschodnim. Najwięcej ucierpiało miasto Goliad, w którem runęło kilkadziesiąt domów. Pod gruzami znaleziono około 100 osób zabitych i kilkadziesiąt ciężko ranionych.

— Na stacyi Neus, w Nadrenii, pociąg towarowy wjechał na pociąg osobowy, stojący na stacyi. Kilka osób zostało zabitych, kilkadziesiąt ciężko ranionych.

Zmarli. Paweł Merwart, artysta malarz. *Figaro* paryski donosi, że padł on ofiarą katastrofy na Martynice.

— Adam Antoni Chodyński, w Kaliszu, prawnik i historyk.

— Benjamin Constant, w Paryżu, słynny artysta-malarz.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu X. Wydaniem Słownika technicznego zajmuje się wydział słownictwa przy Stowarzyszeniu techników (Królewska 5). Jednakże prędkiego ukończenia tej pracy spodziewać się nie można.

Panu D. E. Obrazka pańskiego nie pomieścimy.

P. Z. Z. Nie skorzystamy.

Nowicyuszce we Włocławku. Nie mamy odpowiedniego działu dla takich artykułów; prócz tego z oceną każdej sprawy należy poczekać do czasu jej wykonania. Nadesłana nam notatka wygląda na reklamę, której z zasady unikamy. Pokażcie najpierw, co umiecie.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 16 Мая 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.